BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W GDAŃSKU
Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
0IV 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO
KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V | Warszawa, 19 czerwiec 1949 r. | Nr 24 (186)

Władysław Żegocki

Wiara w Chrystusa - a świat współczesny

Tydzień Społeczny Intelektualistów Katolickich w Paryżu

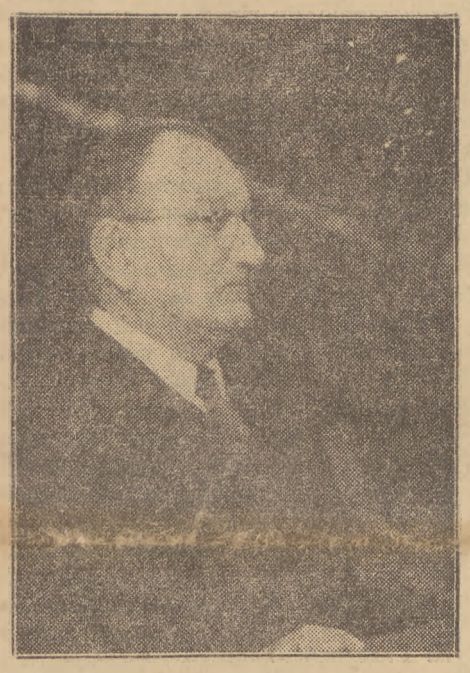

Stefan Gilson

„Świat współczesny stawia chrześcijaństwu problemy tak pilne ale i tak skomplikowane, że o rozwiązywanie ich nie mogą się pokusić pojedyńcze jednostki. Nie podołają temu zadaniu nawet zespoły, jeśli będą się tworzyły tylko i wyłącznie na płaszczyźnie jednostronnych fachowych zainteresowań. Rozwiązanie postawionych przez świat współczesny problemów wymaga ścisłej współpracy licznych umysłów, o najróżniejszym przygotowaniu naukowym, i dysponujących możliwie najszerszym wachlarzem danych i informacyj. Naszym zadaniem jest umożliwić dokonanie tego dzieła..."

Tymi słowy, otwierając drugi powojenny „Tydzień Społeczny", charakteryzował działalność Ośrodka Katolickich Intelektualistów Francuskich jego prezes p. H. Bedarida.

Ośrodek Katolickich Intelektualistów Francuskich jest mózgiem świeckim katolicyzmu francuskiego. To nie byle co, biorąc pod uwagę, że Francja dziś niewątpliwie przoduje intelekualnie całemu katolicyzmowi światowemu. Jeśli pod względem rozpowszechnienia wiary i jej zakorzenienia się w narodzie niewątpliwie znajduje się daleko w tyle, na przykład za Polską, jeśli pod względem rozmachu technicznego daje się wyprzedzić katolikom krajów Anglosaskich, o tyle dzierży niewątpliwie i bezkonkurencyjnie pierwsze miejsce w zakresie wypracowywania i eksperymentowania nowych koncepcyj aktywności katolickiej we współczesnym świecie.

„Tydzień Społeczny", organizowany przez Ośrodek raz do roku jest corocznym przeglądem osiągnięć intelektualnych katolicyzmu francuskiego, a jednocześnie sprawozdaniem o dorobku pracy zbiorowej, dokonywanej w licznych sekcjach OKIF.

W roku zeszłym prace wygłoszone na „Tygodniu Społecznym" obracały się wokół problematyki chrześcijańskiego miłosierdzia, analizowanego w najróżnorodniejszych aspektach. W roku bieżącym przedmiotem rozważań było zagadnienie— „WIARA W JEZUSA CHRYSTUSA — A ŚWIAT WSPÓŁCZESNY".

Olbrzymia żywotność intelektualna katolicyzmu francuskiego, oddanie głosu najwybitniejszym współczesnym myślicielom katolickim, z Maritainem, Gilsonem, Claudelem, Mauriacem na czele, wreszcie najwidoczniej własny prestiż organizatorów powoduje, że „Tydzień Społeczny" przemienia się z konferencji intelektualistów— w masową manifestację żywotności katolicyzmu francuskiego.

W KOŚCIELE ST. ODILE — NA PRZEDMIEŚCIU PARYŻA

Na przedmieściu Paryża mieści się nowocześnie zbudowany kościół św. Odyli, duży, oryginalny gmach, o dziwnej ale pięknej architekturze, w Polsce zupełnie nie spotykanej. Podziemna krypta tego kościoła zaplanowana została na olbrzymią salę konferencyjną, widowiskową. Sala ta, mieszcząca swobodnie dwa tysiące osób by la przez tydzień zapełniona po brzegi, a w dniu zamknięcia obrad tłumy osób, które się do sali już wcisnąć nie mogły, słuchały w samym kościele przebiegu zebrania, dzięki zainstalowanym tam mikrofonom.

Graham Green

Przyjezdnemu widzowi rzucają się natychmiast w oczy charakterystyczne różnice obcego środowiska. Porządek idealny, punktualność zebrań, wytrwałość słuchaczy mimo, że sala znajduje się poza centrum wielkiego miasta, a zebrania przeciągają się czasami prawie do północy. Rzuca się w oczy ponadto najzupełniej odrębny skład audytorium. Tak powszechny u

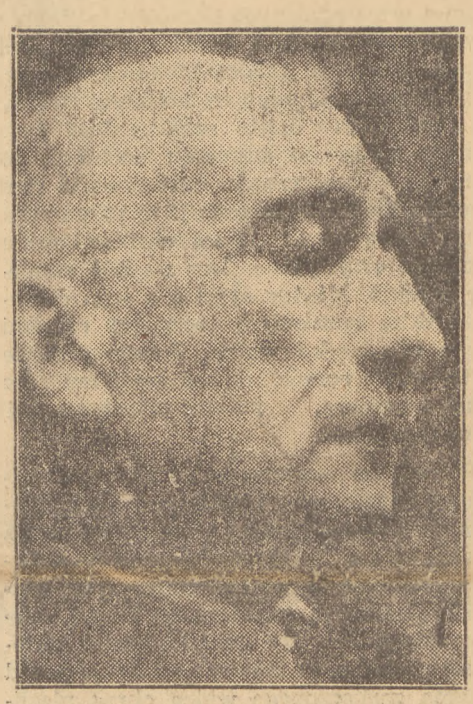

Franciszek Mauriac

nas typ starych dewotek, pragnących dosłużyć się zbawienia przesiadując nieuważnie zresztą na wszelkich imprezasch katolickich jest tam, we Francji, szczęśliwie zjawiskiem znikomym. Przeważa element młody, inteligentny, choć i też bynajmniej nie tylko inteligencki. W dniu otwarcia siedział przy mnie jakiś elektrotechnik, prosto od pracy, z torbą z narzędziami, w kombinezonie pod płaszczem. I nie był bynajmniej wyjątkiem.

Dużo księży, przeważnie młodych, otoczonych zresztą świeckimi przyjaciółmi. Postawą swą odbiegają również daleko od naszych przyzwyczajeń. W berecie na głowie, zdążają ku krypcie dużymi, wojskowymi krokami, wielu na rowerach, (siostry zakonne również), czasami na motocyklach. Witają się głośno, są bezpośredni, rozmowni, i jak widać powszechnie lubiani. Przebija z nich niemal wszystkich, w odróżnieniu od wielu duchownych — przybyszów jakiś najzupełniej nowy typ apostolatu kapłańskiego, wykuty w najtrudniejszych zresztą warunkach, w jakich się do dziś katolicyzm francuski rozwija.

Przez osiem dni pod rząd będą na mównicę wstępować czołowi intelektualiści francuscy. W programie znajduje się 12 odczytów i 35 ko-referatów nie licząc równoległych spotkań dyskusyjnych, odbywających się w mniejszych zespołach w lokalu Ośrodka. Program „Tygodnia Społecznego" waży więc nie tylko najwybitniejszymi nazwiskami, lecz i również nagromadzonym olbrzymim materiałem. Mimo jednak przeładowanego czasami porządku dziennego, mimo podejmowania przez powagi naukowe poważnych czasem wręcz erudycyjnych problemów — nie powiało na olbrzymiej sali ani razu nudą czy przemęczeniem. Nie było mówcy, który by zresztą nie wziął sobie za punkt honoru, nie przepleść swych, najpoważniejszych zresztą rozmyślań, ciętymi i dowcipnymi dygresjami. Raz po raz sala wybuchała radosnym śmiechem i nagradzała dowcipnych rzęsistymi oklaskami. Tak, we Francji powaga bynajmniej nie oznacza sztywności.

ZAGAJA JAKUB MARITAIN

Na posiedzeniu inauguracyjnym przemówił w atmosferze wielkiego osobistego szacunku i powszechnego napięcia — siwo włosy, wyraźnie sterany już intensywną pracą twórczą — Jakub Maritain. „Co to znaczy — wierzyć" oto temat jego wypowiedzi. Zadanie, jakie sobie ten wybitny mówca postawił jest frapujące: ustalić wzajemny stosunek wiary i rozumu, wiary i inteligencji. Wskazuje na zarodki ateizmu w dzisiejszej mechanice pracy intelektualnej — produktywizm intelektualny,

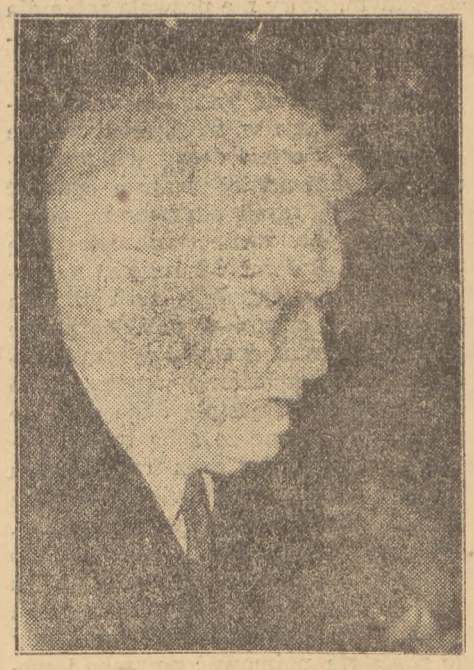

Jakub Maritain

prymat sprawdzalności nad prawdziwością.

„Niedoceniamy i zapominamy, mówi Maritain, tej biernej czynności rozumu, kiedy słuchamy nim zaczniemy się wypowiadać... Nie staramy się dostrzec istoty prawdy, zatrzymujemy się przy argumentach, formułkach zewnętrznych, pomijamy elementy rozumowania, by się zatrzymywać bezpośrednio przy wnioskach. Inteligencja współczesna bazuje się na znakach widocznych, a nie na istotnej, oznaczonej rzeczywistości. Zbyt dużo jest chrześcijan, którzy istotę Zbawienia traktują jako informację, z której zamierzają ciągnąć korzyści, lecz którzy nie chcą ani przeżyć ani zrozumieć istoty Ofiary Zbawienia".

Stąd też tendencja, by przyjmować jako własne tylko to, co potrafimy własnym umysłem pojąć i udowodnić. W stosunku do reszty, jeśli nawet przyjmujemy prawdę Objawioną, to jakby na odpowiedzial-

ność Kościała, bez osobistego w niej udziału.

„Bo wiara, podkreśla francuski filozof— nie prowadzi bynajmniej do spokoju, czy do kwietyzmu. Przeciwnie, jest wiecznym niepokojem. Credo ut intelligam — wiara nie ma nigdy oczu zamkniętych".

Dlatego też nawołuje Maritain, i hasło to będzie przewijać się przez wszystkie wystąpienia tego tygodnia — wierzyć — to znaczy rozumieć chrześcijaństwo i rozumieć Chrystusa. Rozumieć zaś, to potrafić oddzielać od siebie to, co jest jedne i wieczne, od tego wszystkiego, co codzienne i różne.

Wszystkie dalsze konferencje podchodzące do problematyki wiary od najróżniejszych jej aspektów podkreślać będą jedno i to samo — uniwersalny, powszechny i różnorodny charakter wiary, pozwalającej ludzkości w każdych warunkach, w każdym okresie historycznym, w każdym porządku społecznym — realizować Ewangelię.

Po tym monumentalnym, przytłaczającym zasobem wiedzy i ścisłością terminów wykładzie Maritaina, zabierają kolejno, dzień po dniu głos mówcy najrozmaitsi. Stefan Borne, filozof, pedagog i działacz społeczny z obozu MRP przedstawia charakterystykę współczesnych kierunków filozoficznych z punktu widzenia katolicyzmu. Zagajając dyskusję i podnosząc wniosek końcowy referenta, apelujący o nową Summę naszych czasów — Gilson przestrzega entuzjastów, i nie bez racji, że nowy Tomasz z Akwinu, gdy go Opatrzność ześle — będzie zapewne długo przez samych katolików wyklinany i bojkotowany, nim swe dzieło spełni.

EMANUEL MOUNIER — OŚ „TYGODNIA"

Niewątpliwie największy ciężar gatunkowy wniosła do rozpraw wypowiedź Emanuela Mounier. Ten młody jeszcze myśliciel katolicki wybija się dziś na czoło twórców współczesnej kultury chrześcijańskiej na zachodzie. Mounier odszedł dziś już daleko od swych minimalistycznych pozycyj, na których poznaliśmy go zaraz po wojnie. Pozostał przy tym myślicielem realistycznym, który nie pozwala sobie dla daremnego efektu upraszczać współczesnych problemów „ad usum delphini..."

Nie sposób streścić przemówienia Mouniera, tak bogatego w treść, że z trudem pomieściło się w czasie dwugodzinnego referatu. Jeszcze trudniej przyszło ogarnąć całokształt tych myśli słuchaczom, przygwożdżonym dosłownie przedstawioną problematyką. Referat Mounier'a, najciekawszy z całego Tygodnia, zasługuje na ukazanie się w całości w polskiej prasie katolickiej. Mounier dowodzi w nim i rozwija tezę, że przez historię współczesnego świata przewijają się stale dwie odrębne choć ściśle powiązane ze sobą kultury — kultura chrześcijańska oraz każdorazowa historyczna, rzec można świecka kultura ludzkości danego okresu. Dowodzi on dalej, że chrześcijaństwo posiada w sobie siły, które mu pozwalają dokonywać syntezy z każdą ludzką kulturą i że groźba regresji chrześcijaństwa pojawia się wówczas, gdy ludzie przestają pojmować potrzebę i metodę dokonywania tej syntezy i pragną ten proces zastąpić jakimś bezdusznym schematem, pozorującym „pełnowartościową" kulturę chrześcijańską na ziemi. Dla Mounier'a bowiem, nie realizacja jakiegoś określonego porządku, ale chrzczenie **każdorazowego** historycznego porządku ludzkości — jest właściwym zadaniem chrześcijaństwa.

Organizatorzy „Tygodnia Społecznego", biorąc pod uwagę zaawansowaną pozycję ideową Emanuela Mounier przeznaczyli mu dwóch ko-referentów wyraźnie odmiennych poglądów. Mimo tych jawnych różnic — nie wnieśli oni przeciw tezom referenta żadnych poważnych zastrzeżeń. Jeden z nich natomiast, G. Vedel. oddając tym cześć referentowi, podkreślił mocno, że wielką i prawdziwie chrześcijańską nie jest ta myśl, która może być bez zarzutu, lecz ta, którą cechuje odwaga szukania prawdy.

Następnego wieczoru Jan Guitton podejmuje niezwykle trudny temat moralności chrześcijańskiej wobec nowych warunków ludzkiego istnienia. Analizuje współczesne osiągnięcia cywilizacyjne i techniczne, zestawia problematykę wiary z najnowszą problematyką naukową.

Po nim z kolei, wybitny przyjaciel Polski i znawca sztuki współczesnej Stanisław Fumet w patetycznych i niezwykle pięknie wyrażonych myślach broni tezy wolności sztuki, którą nie kanony mogą ograniczać, a tylko poczucie odpowiedzialności twórcy za dane światu dzieło sztuki. Jeśli więc artysta w swoim sumieniu dochodzi do wniosku o konieczności ograniczenia ram swej swobody artystycznej, to przemawia przez niego — nie jakieś chrześcijańskie sumienie artystyczne, lecz zwykłe sumienie ludzkie. Między artystą a jego chrześcijańskim sumieniem toczy się czasami niezwykle ciężka walka. Trzeba artyście w tej walce pomóc, nie zaś pętać mu ręce jakąś manierą, jakimiś artystycznymi konwenansami.

Po nim na warsztat wchodzą najaktualniejsze zagadnienia wiedzy — „Bóg i Kosmos" — chrześcijańska i naukowa wizja wszechświata. Kolejno występują na mównicę nosiciele wysokich naukowych godności, luminarze współczesnej fizyki, chemii, astronomii. Na przedostatnim natomiast posiedzeniu mówcy roztaczają przed oczyma zaskoczonego widza obraz niezliczonych zagadnień jakie stawia dziś chrześcijaństwu jego uniwersalizm, jego styki z najprzeróżniejszymi kulturami, psychikami, ustrojami. Teraz kolej na wypowiedzi misjonarzy, podróżników, geografów, etnologów.

FRANCISZEK MAURIAC — OSTATNI GŁOS

Wreszcie ostatniego, ósmego dnia, przed nabitą po brzegi salą występuje Mauriac z niewątpliwie najpiękniejszym przemówieniem spośród usłyszanych. Wśród powszechnej ciszy unosi się chrapliwy, jakiś niesamowity, zza grobu, chory głos Mauriaca, by powiedzieć, że tak, chrześcijanin jest z tego świata, choć nie dla niego nosi w sobie duszę nieśmiertelną. Bije jednak z wypowiedzi Mauriac'a zwykły mu, dogłębny, jansenistyczny pesymizm pogłębiony chyba jeszcze na schyłku życia, poczuciem osamotnienia pisarza, który broni pozycyj społecznego konserwatyzmu. Nie rozprasza tej atmosfery smutku niemniej piękne przemówienie Grahama Greena, jakkolwiek odcina się on od cienistej sylwetki Francuza, swą wysportowaną postacią z czerwonawą typowo brytyjską fizjonomią i rudawymi falującymi włosami. Może najwięcej życia i wiary w sens walki, którą przychodzi dziś katolikom toczyć na świecie przynoszą zamykające słowa Arcybiskupa Paryża — kardynała Suharda.

„Żyjemy, — mówił — w czasach, w których rozum ludzki odgrywa coraz to poważniejszą rolę, w czasach, w których rozwój Kościoła przypomina epokę rozkwitu wielkich Summ Teologicznych i wielkich rozpraw doktrynalnych."

„W pracy swej umysł chrześcijański musi się kierować światłem wiary. Tylko ona może bowiem zapewnić inteligencji autentycznie prawdziwą postawę. Wiara jednoczy, ochrania istotę prawd naturalnych.

„Niemniej jednak chrześcijanin obowiązany jest posługiwać się w swej pracy intelektualnej swym ludzkim rozumem. Chrześcijaństwo było i pozostanie obrońcą wolnego rozumu. Nie ograniczał on nigdy ani badań ani postępu, lecz tylko pragnął oświecić i podnieść do Boga."

„Są bowiem takie milczenia Boskie, które pozwalają rozumowi ludzkiemu zachować własne i samodzielne pole działania. Bóg nie daje bowiem w sprawach ludzkich

Emanuel Mounier

gotowych odpowiedzi. Jesteśmy powołani po to, by je powoli sami wypracowywać, posłuszni wskazówkom Ducha Św., by móc za św. Pawłem powtarzać — **Fidem servavi".**

NIEPOKÓJ TWÓRCZY

Wrażenia? Wnioski? Nie łatwo jest istotnie sformułować. Byliśmy świadkami wspaniałej demonstracji potężnej dziś kultury katolickiej we Francji i czuliśmy pulsowanie jej żywotności. Rzecz charakterystyczna, wszyscy niemal mówcy, jakkolwiek wielu z nich należało do starszych już pokoleń, w przemówieniach swych nawiązywali do dzieł i oddawali hołd pamięci twórców katolickiego radykalizmu — Eloy, Peguy, Bernanos'a. Czuć tu potężny powiew rewolucyjny, który ogarnia dziś cały świat katolicki i każe szukać nowych dróg apostolatu i nowych form walki i Królestwo Chrystusowe.

Niemniej, nie bez niepokoju śledziliśmy raz po raz ukazujące się na tej potężnej budowli szczeliny, zwiastujące kryzys, być może twórczy, ale chyba nieunikniony.

Kryzys indywidualności artystycznych w bogatej dotąd literaturze katolickiej francuskiej — Komentując na łamach „Figaro" przebieg Tygodnia, sam Mauriac daje wyraz temu niepokojowi. — „Trzeba to przyznać, ciąg pisarzy katolickich wydaje się nam przerwany, jeśli nie załamany, ten ciąg, którego początek dał Chateaubriand (ale należałoby cofnąć się aż do Pascala, którego „Rozmyślania" stanowią źródło dla całej naszej personalistycznej literatury) i który trwał od Veuillota i Barbey d'Aurevilly aż do Leona Bloy, od Huysmansa do Peguy, do Psichariego, do Bernanosa, od Maurycego de Guerin, do Verlaine'a, Jamesa i Claudela...

„Któż nas zastąpi? Niepokoję się, zapytuję — i jakież milczenie!"

Istotnie, widok jest przygnębiający — wielka trójca współczesnych pisarzy katolickich francuskich — to zgarbiony i głuchy już Claudel, Daniel - Rops półślepły o chudej mumiowatej twarzy, i milknący Mauriac, którego chory głos robił na sali dziwne, niesamowite, pozagrobowe wrażenie. Co się dzieje z młodymi? Przecież są, garną się wokół. Czyż nie ma wśród nich talentów? Nieprawda — Francja dziś jest intelektualnie i artystycznie bogatsza niż przedtem. Więc dlaczego milczą?

Odpowiedź nie jest prosta i nie łatwo nam ją od razu sformułować. Sami Francuzi, świadomi niebezpieczeństwa szukają jej dopiero. Daje się odczuć we Francji olbrzymi wysiłek dążący do nadania pracy katolickiej zupełnie nowych perspektyw. Usiłowania oderwania problematyki katolickiej od tradycyjnych łożysk politycznych i społecznych, od zadawnionych nawyków myślenia. W świecie wrzącym aktualnymi i ideologicznymi konfliktami — katolicyzm francuski dąży najzupełniej wyraźnie do ustawienia się nie tylko ponad partyjno - politycznymi programami, ale nawet ponad światowymi politycznymi podziałami. To dopiero wielka praca do dokonania. Przy tym jednak każdy z tych Francuzów-katolików odczuwa nie tylko potrzebę, ale konieczność bezpośredniego udziału w aktualnych przemianach i rewolucjach. Czują się w nich nieraz, jako Francuzi — zagubieni. Ta świadomość iż od Kościoła należy oczekiwać siły moralnej, a nie aktualnego programu działania, obok świadomości, że ten konkretny program działania wymyka się jeszcze spod ich kontroli jest, wydaje się, źródłem wielu wewnętrznych zahamowań w twórczości intelektualnej francuskiej.

Katolicka myśl francuska przechodzi dziś wielki okres wewnętrznego skupienia i wytężonej wewnętrznej pracy. Stan ten odczuwa się dziś wyraźnie w intensywności i w rozkwicie katolickiej aktywności. Katolicy francuscy niepewni jeszcze — powoli dopiero i jakby z ociąganiem wkraczają na arenę współczesnej rzeczywistości. Każdy jednak postawiony tu krok — jest osiągnięciem. Warto i trzeba bacznie je śledzić.

Paryż w maju 1949 r.

Władysław Żegocki

DOLE i NIEDOLE PRASY AMERYKAŃSKIEJ

Dzieje prasy amerykańskiej mogą służyć za temat barwnego opowiadania, gdyż wielorakie były wydarzenia, dzięki którym dziennik amerykański stał się tym, czym jest dzisiaj ze swymi wartościami i swymi rażącymi wadami. Prasa amerykańska miała nie mały wpływ na bieg dziejów tego kontynentu i próbuje obecnie toczyć bój o opinię światową. Dlatego dzieje jej nie są bez znaczenia.

Istnieją trzy sposoby podchodzenia do historii. Zwolennikami pierwszego są przede wszystkim uczeni: obchodzi ich najwięcej dokładność faktów do skomentowania. Inaczej zwracają się do czasów minionych ci, którym ludzie i warunki innej epoki wydają się dziwne i ciekawe — nieraz przyjemniejsze niż współczesne. Tych nazywa się teraz czasami eskapistami. Są wreszcie tacy, którzy patrzą w przeszłość głównie po to, aby z niej wyciągnąć wskazówki na przyszłość. Publicyści należą często do tej 3-ej kategorii.

Nie jest jednak łatwo skondensować do właściwych rozmiarów historii 250 lat rozwoju prasy amerykańskiej.

Prasa w okresie kolonialnym (1690—1765)

Chociaż wśród ludzi, którzy w końcu XVII-go wieku zakładali w Ameryce kolonie angielskie, było, oczywiście, sporo analfabetów, nie mniej, byli to przeważnie ludzie z wyrobionym światopoglądem i ideałami, gdyż w olbrzymiej większości wygnani zostali oni ze starego kraju, nie złymi warunkami ekonomicznymi — lecz przez prześladowanie religijne i polityczne. Jeżeli ludność, zdobywająca miejsce w prymitywnych warunkach wyrobiła w sobie zdolności praktyczne, to pozostaje faktem, że otrzymała ona w spadku po „Ojcach Pielgrzymach" całkiem specyficzny kapitał zainteresowań religijnych i politycznych. Nie należy zbyt pochopnie oceniać wartość tego skrzyżowania. W wypadkach dodatnich dało to typ ludzi, który w ciągu 2 i ½ wieku odegrał przodującą rolę w dziejach ludzkości — w wypadkach ujemnych wynikła nieszanka utylitaryzmu i naiwnego doktrynerstwa, typ, który nieraz zaciążył na dziejach swego narodu i na niebezpieczne szlaki zaprowadzić go może... Trudno jednak ustalić stopień współzależności jednych od drugich.

Wyrazem tych złożonych uwarunkowań jest prasa amerykańska. Pierwsza prasa drukarska zjawiła się w angielskich koloniach Ameryki Północnej w r. 1638, nie była jednak pierwszą na tym kontynencie. Hiszpanie już, od 100 lat drukowali w Meksyku. T. zw. „relacions" były tam w XVII w. już rozpowszechnione i, jako zadrukowana, pojedyńcza stronica papieru z bieżącymi wiadomościami trafiała się od 1541 r., choć nic nie wiadomo o jakichkolwiek próbach regularnej publikacji.

Kiedy wspomniana prasa drukarska został przywieziona do A. Płn. wyższa uczelnia w Harvard, w osadzie Cambridge, koło Bostonu liczyła sobie 2 lata. Prasa miała służyć jej celom. Niebezpieczny ten przyrząd podlegał oczywiście ścisłej kontroli.

Boston otrzymał swą I-szą maszynę drukarską dopiero w kilkanaście lat po Harvard, a prawie ½ wieku minęło zanim można było zacząć wydawać pismo. 25 września 1690 r. ukazał się 1-szy nr. I-szej gazety amerykańskiej, „Publick Occurrences" o 4-ch stronach z których 3 zadrukowane, 1 biała (gdyż posyłano gazety bliskim, dodając wiadomości osobiste). Istnieje tylko 1 nr. (przechowany w londyńskim Public Record Office), gdyż gazeta została natychmiast zawieszona. Nie był też ten pionier amerykańskiego dziennikarstwa godzien swych następców. Jeśli nie liczyć tej nie udanej próby 1-sza bostońska gazeta datuje się z r. 1704. Dla orientacji podamy zestawienie chronologiczne pierwszych gazet w różnych krajach:

Norymberga	1457 r.
Kolonia	1499 r.
Wenecja	1570 r.
Frankfurt	1615 r.
Londyn	1622 r
Paryż	1631 r.
Szwecja	1644 r.
Leith (Szkocja)	1653 r.
Harlem (Holandia)	1656 r.

(Dokończenie na str. 10).

Antoni Gołubiew

ŻELAZNA OBRĘCZ NA ŚLIŹNIÓW

(Fragment z III części Bolesława Chrobrego)

Polanę wypełniał ciężki nieruchomy upał. Jaskrawy blask raził oczy. Na południowym krańcu, gdzie rzeka rozlewała się w zastałe oparzeliska i kędy ciągnęły się płaskie łęgi, będące ongiś kością niezgody między obu gałęziami rodu, Żarek Ślizień wzniecał od rana popłoch wśród wodnego ptactwa. Krzyki, kwakania, plusk, trzepot skrzydeł. Kaczki miały już młode, wodziły je między szuwarami. Pies rzucał się ciężko w gęstą wodę, bił przednimi łapami, wzniecał burzę chlupotu i szczekania. Kaczki, gęsi i łabędzie zrywały się, sunęły płaskim lotem nad trzcinami, próbowały odciągnąć napastnika od swoich stadek i gniazd. Żarek chyboczące się na uginających się kępach, grzęznąc po kolana w bagnie, napinał łuk, puszczał strzałę; ptak naraz stawał w locie, przekręcał się, padał wdół bijąc skrzydłami; wówczas Żarek wybuchał śmiechem. Był przepełniony radością, wylewała się zeń ta radość i buchała. U pasa miał dwa pęki ptaków, pies przypływał z jeszcze jednym w pysku, oczy świeciły mu się przypaloną żółcizną; chłopak odbierał zdobycz, wyrywał z ciała strzałę, przytraczał ptaka; pies śmiał się szerokim rozchyleniem pyska, merdał chwostem. — Hop! — krzyczał nań łowiec, wskazując dłonią kierunek. Powoli zbliżał się do nurtu rzeki, tam, gdzie grunt wydymał się w stromy pagórek, spadający w koryto, stromym urwiskiem; na stoku pagórka leżały kupy zwleczonych tu na rozkaz Piekuty tramów.

Parę lat już leżały te tramy. Żarek wylazł z trzcin, przysiadł na pniu, suszył się; bezmyślnie obdzierał korę. Odpadała wielkimi płatami — sypało się brunatne próchno, całe drewno pożółkowały korniki. Lubusza, ilekroć zabrnął w tę stronę, zawsze splunął ze złością; zasadzał rękę za pas, długo spoglądał na bezładny stos drzewa; z pomiędzy pni wyrastały pokrzywy, kiwały się na wietrze, górą latały pstre motyle. Lubusza miał mocną grubą twarz, wielki nos, twardą brodę pod gęstwą wąsów; a ilekroć patrzył na kupę gnijących tramów, z krągłych oczu wyzierał mu strach: nikły cień owego przerażenia, które owładło nim, gdy mu Piekuta powiedział — przed laty — że ma gródek na polanie postawić, tramy na gródek ściągnąć. Żelazną obręczą ściskał ksiądz polanę Śliźniów.

O tej kupie butwiejących pni radził w dalekim Krakowie Bolesław z Sulisławem i Piekutą. Tenże sam upał zawisł nad grodem wawelskim, dusił. Stanko przyniósł kwas ostudzony w krynicy, szyja dzbana perliła się rosą. Aż zęby ścierpły od zimnego napoju. Bolko zgarnął dłonią pot z twarzy i szyi, otarł rękę o gacie. Piekuta sapał, na głos księdza podniósł czujne oczy.

— Trza się nam ubezpieczyć od Jomsborga. Czyli postawiłeś, Piekuta, gródek u Wielkiej Drogi?

Zanim komornik otworzył gębę, ozwał się Sulisław swym suchym, kaszlącym basem:

— Od Jomsborga, ksze? Wżdy Jomsborg jest wasz. Dzierżyk tamok na stróży siedzi.

Bolesław przeciągnął ramiona — jakby w znużeniu.

— Iii... siedzi, pewnie! Ale w tej wojnie, co idzie na nas, trza mieć pewność chociaż od dwóch stron... nie wiele nawojujesz we wszystkie strony. Jeśli z północy jeno Jomsborg i Szczecin nas broni, może nie starczyć Dzierżka z jego setkami. A Wielka Droga mami, aż pod Poznań można się Wielką Drogą zakraść. Trza zawałę zrobić na Wielkiej Drodze, a najlepsza zawała: gród. — Bolko wylał resztę kwasu z dzbana, wołał o więcej. — No jak, Piekuta, ze Śliźniowym grodem? Stoi.

— Abo to Śliźnie sami postawią gród? Nie postawią. Kazałem im drzewo zwlec, całą zimę ciągali: wielka kupa pniów tam leży. Potem będą obrabiać tramy, a rowy kopać, a mocować, wżdy co zrobiliby sami: ostrokół a rów, jak za Ziemomysła. Nowego grodu nie postawią.

— Kogo im poślesz?

— Wielki chcecie postawić gród?... nie gródek?

— Nie gródek... nie gródek, Piekuta. Trza zawalić zasiekiem Wielką Drogę, a szlaby chąsa od morza: zatrzymać. Nie gródek, Piekuta, gród: ściany na trzy chłopa i grube. Między bajorem a rzeką rów. Szeroki. Brona, a nad nią trzem. I niemały ma być ten gród: wszyscy Śliźnie mają się w nim zmieścić. Poślij im Zmarska, ten postawi, niejeden gród stawił ojcu i mnie.

Piekuta skrzywił się, spojrzał prosto na księdza.

— Prawie gadacie, ksze, Zmarsk tęgi cieśla. Ale stary. Nogami ciąga, zośliwi się. A wiecie, ksze, Śliźnie to niby mieszka w boru. Jeśli nie założycie mieszczo kolca w nozdrza, nie powiedziecie ji. Śliźnie? znam ci dobrze onych, białkę wziąłem z polany, potem byłem tamok ze dwa razy. Kto ich wie, Śliźniów, całkiem jakby nie byli w księstwie, nic nie pojmują. Kazać im kłody przez strumień rzucać, marmocą i boczą się. Nie zdoła Zmarsk zapędzić Śliźniów do takiej roboty, jak gród: niemała to robota.

Bolesław uderzył komornika po kolanie.

Głupiś, Piekuta. Zmarsk dobry cieśla, choć stary, poco mu ze Śliźniami wojować? Niechże gród stawi. A Śliźniom trza posłać komornika, iże zajarzmi smardów. Masz takiego? gadaj

Piekucie twarz zadrgała, zmalały mu czarne oczy.

— Prawie gadacie, ksze, komornika na nich! Już jabym im rady dał. A no trza im posłać... — i zaciął się. Myślał głośno:

— Juszka... nazbyt piwo lubi, zapije się żłopiryj. Dłotla... iii wory z zarnem wozić zdoła, ale ze Śliźniami... Krobek... Niesuł... — naraz poderwał głowę, spojrzał bystro na Bolesława, zawahał się i od razu:

— Mam dobrego komornika na Śliźniów.

— Kto?

— Kłąb — a dojrzawszy obudzoną czujność księdza, sypał jednym tchem:

— Wiem, że Zefrid szczekał na Kłąba, biegał Kłąb ongiś do Latorosłki w Orczycy, świątek złość ma do smarda. Wżdy tęgi komornik z Kłąba.

— Utrzyma Śliźniów?

— On? — Piekuta zaśmiał się z cicha — żaden z komorników nie zdusi tak smarda jak Kłąb. Och!... ten umie wołać „poganiaaj", zna wleczenie się z powodem albo z robotą. Sam był smardem, dobrze wie, jak lenić się i jak lenia pędzić. Nynie do drużyny się pcha, żal takiego komornika z ręki puszczać, ale on cięgiem mi w oczy kłuje, wbił sobie drużynę w łeb, nie wyrwiesz mu tej dumki. Rzekę mu: „Postawisz w rok gród, ksiądz cię do drużyny weźmie i broń da"... już będą mu Śliźnie w ręku chodzić, nie bójcie się.

Bolesław stuknął kubkiem w stół:

— A no, to i ślij obu, za rok ma gród stać a w nim grododzierżca, komornik i stróża. Będą wiedzieć Śliźnie, że i oni są w księstwie.

— Dobrze. Wraz poślę obu, nie długo będą butwieć tramy na Śliźniowej polanie.

Żarek leżał na kupie pni, grzał się w upale. Wciąż drżała w nim radość, napięte przeczucie życia. Jak to z łuku szyje — pęk ptaków przyniesie ojcu. Głęboko odetchnął rozgrzanym zapachem próchna i parującego błota. Nad stertą drzewa goniły się wciąż motyle, upał smalił. Żarek położył się na pniu, przymknął oczy, pod powiekami płynna czerwień. Lenistwo go ogarnęło, a mimo to słuchał wciąż drgającej w nim radości. Jak to strzela, żadnego ptaka nie chybił. Zaśmiał się cicho z tego rozradowania i siadł. Oczyma poszukał szczerby w ścianie lasu — Wielkiej Drogi. Niewiadomo skąd przyszło doń wspomnienie Gza. Urzekł go dziad pierwszego zaraz dnia, kiedy to przyjechał do nich z pod Jomsborga. Pachniał pot koński, chrzęściła zbroja I te gadki, pachnące dalą. Odtąd tylko jedno ważne dla Żarka: łuk, sulica, topór. By wojowi — zbrojnemu i konnemu, by dziadowi.

— Żarek!

Drgnął, obudził się. Na dole stał ojciec. Włosy mu już siwiały, srebrzyły się w słońcu. Nachmurzony patrzył na zwalone pnie. Chłopiec ześlizgnął się.

— Masz ptaki?

— Cały pęk.

— Dobrze, matka piec będzie. Ileś strzał utopił?

— Ni jednej.

— Ni jednej.

— Nie.

— No... — w głosie Lubuszy niechętny podziw. — No, dobrze strzelasz. Nie jak kmieć. Jak woj.

Ostro zabiło w piersi chłopcu.

— Ociec.

— Co? — Lubusza nasrożył się. Powiedział:

— Wybij to sobie ze łba, słyszysz?

— Co, ociec?

— Wiesz, wiesz dobrze co. I ja wiem. Nie będzie nic z tego — stanął, nogą tupnął, w oczach upór. — Księża drużyna ci śmierdzi Wiem. Nic nie będzie z drużyny. Nie puszczę.

Szli milcząc, nachmurzeni obaj. Żarek podnosił w górę oczy, odmykał usta, jak ryba. Milczał. Lubusza nachmurzył się jeszcze bardziej:

— I z dziewką nic... Widzicie ji, sysuna. Śliźnie ważny ród, stary ród A ona co? przywłoka. Jej ojciec był klejmowany, pomnę dobrze, strzała przecięta na krzyż. Twój dziad zwolił im osiąść za rzeką, puszczę ciąć. A kiej Normany przyszły... był taki żar jak nynie, pomnę dobrze. Dziewanna śpiewała pieśń rodową, zwołała polanę. Przeszły Normany rzekę, my kamieniami w nich... kamieniami... Zwaliło się kilku, jakże. Wtedy to Kuternoga poszedł po pomoc, połamaniec nie wiedział, jaki to ród Śliźnie. Mieszka... Mieszka... — Lubusza pogardliwie wargi skrzywił. — Iii... sami pobilim zbójów, nie trza nam było Mieszkowej pomocy. Tu za rzeką, widzisz? Sami, Śliźnie — Lubusza przystanął, na chłopca spojrzały krągłe, łagodne oczy, teraz stwardniałe dumą. — Oćca mego zbóje ułowiły liścia, tegdy poszli my na nich przez rzekę... kupą. Giez wonczas łodzie im spalił — Lubusza skrzywił się na moment — przegnalim gadów z polany. Oho, Śliźnie! A tamtych z za rzeki zbóje pobiły w mig, jedno białki z dziećmi uszły w puszczę. Ty chcesz brać dziewkę, jejże oćcu Norman rozwalił klejmowany łeb? Żyliście pobok tyle lat: co cię nynie sparło?

Żarek mrugał gęsto.

— Iście sparło.

Co? Jak się to stało? Prawie gadał ojciec: tyle lat żyli podle siebie. Dzieci byli, gdy w mgliste ranki wyganiali krowy na pastwiska. Całe dni byli razem na łęgach — z gromadą pastuszą — myszkowali po skraju puszczy, społem kąpali się w rzece. Ileż to razy łapał Żarek Kalinę za kostkę u nogi, wciągał do wody; plotła im wianki z kwiecia, wzamian chłopcy wpuszczali jej żabę za giezło — uciekała z wrzaskiem, żaba ruszała się pod płótnem; dołali się — rad był, że zawsze zwalał dziewczynę na ziemię; ileż razy płakała przez niego. Żarek usiłował ją przypomnieć taką, jaka była wtedy — nie nazbyt to się udawało; nie przyglądał się w tamte lata dziewce, wrona na drzewie była od niej ważniejsza — zwłaszcza, gdy się miało łuk w ręku. Kalina była cicha zawżdy — to pomni — nie rozwrzeszczana, zdziebko lękliwa. Czasem tylko wpadała w złość — gdy ją ciągnął za jasne, tak jasne, że prawie białe warkocze, kuksała ich wówczas i drapała. Ale uginała się przed byle słowem — rzadko śmiała się równie wesoło, jak reszta. Lubił ją pewnie, jak lubił każdego z pastuszej gromady, turlającej się po łęgach nadrzecznych. Aż tamtego ranka, gdy popłynęli na ryby — trzasło weń nagle, jakby grom huknął.

W tych oczach i obawa, i drwinka, i ufność. Jakże to krzyknąć w te ufne oczy, ściobnąć złym słowem! Żarek poczuł w głębi chłodny strach — obawę przed tym, co nadchodziło. Stali bez ruchu na lekko chyboczącej się łodzi, wciąż zbliska patrzyli sobie w oczy. Jakby ich wodnica urzekła, zamarli. Już strach rozpłynął się w Żarku, trwał ledwo chwilę, ogarnęła chłopca ciepła tkliwość: tako się przestraszyła dziewka, że jej ryba wyślizgnęła się z rąk. A no, co tam ryba — zapomniał, że zaledwie przed chwilą chciał łajać za oną! Ryba — zdała mu się śmieszna ta ryba, co poszła w srebrnozielonych kręgach; w oczach dziewki dojrzał wesoły, przekorny śmieszek i wraz — zapatrzeni wciąż w siebie — oboje parsknęli krótkim rozradowanym chichotem.

Urwali w jednej chwili, ślepia dziewczynie się zmąciły, Żarek odetchnął głęboko, chwycił ją w twardy uścisk.

Jakże dobrze pomni Żarek to rano — było ciemno jeszcze — potknęła się wówczas przy wsiadaniu do czółna, złajał ją. Pracowali podle siebie. Osękami wyciągali sznury, ramieniem czuł jej ramię, ani mu przez myśl nie przeszło, że za chwilę... Zerwała się jej ryba z haczyka, plusnęła, po wodzie poszły srebrne i zielone kręgi. Odwrócił ze złością głowę, ujrzał jej twarz tuż przed sobą, trochę przestraszoną. Jakby pierwszy raz zobaczył. Wielkie oczy, szeroko rozstawione bardzo jasne w opalonej twarzy. Poczuł zapach potu, zmieszany z wonią ryb, a jednocześnie ciepło, jędrną krągłość, i opór, i poddanie się. Niezgrabnie pociągnął ją ku sobie, nie spuszczała zeń rozszerzonych oczu, chciał pocałować ją w usta, trafił na nos, potem na policzek i ucho. Poczuł, że go odpycha, posłyszał szept:

— Puść — gardło miała ściśnięte.

— Ciągajmy prędzej sznury — chrypiało mu w piersi. Pracowali pilnie, nie odwracając głowy, bez słowa. Skoro wrzucili ostatnią rybę do saka, spojrzeli na siebie spłoszonymi oczyma i — tym razem oboje — chwycili się w objęcia. Przez długą chwilę trzymali się tak bez ruchu, słyszeli, jak im w piersi łomocze i świszczy szybki oddech.

Gdy płynęli do domu, Kalina siedziała na dziobie, splatała kosy. Żarek wiosłował leniwie, na moment nie oderwał od niej oczu: raz po raz kraśniała pod tym wejrzeniem — czoło, policzki, szyja. Rzadko podnosiła nań wzrok, wtedy patrzyli na się długo,

---

Mikołaj Rostworowski

JOANNA

Siostrzenicy

Na kalkomanię wyobraźni
czteromiesięcznej magii prawem
nawijasz długo i rozważnie
barwy łagodne choć jaskrawe.

Z tymianku i gawędy cykad,
z połysku leszczynowych kor
jak kęs raźnego podpłomyka
rośnie teatrzyk małych form.

Ty jedna tylko znasz zaklęcie,
które zaludnia świat na niby.
Ogniste centki tropi dzięcioł,
na dłoni pasą się kolibry.

Jak mak wysiewa modre krople
ktoś miły przez rozpylacz chmur.
Paluszkiem trąć niebieską topiel
a złowisz cudnych pereł sznur.

Naszyjnik przetnij i rozsypmy
paciorki świętojańską porą
między paprocie, mchy i skrzypy
dla śródleśnego, dla folkloru.

Łowickim mienią się rumieńcem
płatki policzków? Płatki róż?
Puchowym skrzydłem Anioł Stróż
obrzeża rafy snów panience.

Nad czterolistną koniczynką
jak szczęście wiotki motyl, wiosną,
układa z nitek mgieł dziewczynkom
bardzo przyjazny mikrokosmos.

wpatrywali się, wyrywało się im coś z wnętrza — ostro, do bólu. Oddychali ciężko, jak w trudzie. Żadne słowa nie rzekło, słyszeli chrobot wody o czółno, plusk ryby, krzykanie ptactwa i własny przyśpieszony oddech. Żarek wodził po niej wzrokiem — jasne kosy, grube i ciężkie od wody, podłużny wykrój oczu, wesoły nosek, drobny uśmieszek u warg; niepokoił i radował ten uśmieszek. Żyli obok siebie tyle lat — od dzieciństwa — a jakby pierwszy raz ją ujrzał. Wzruszenie mieszało się w nim ze zdumieniem; to taka jest Kalina? ta-li to dziewka, z którą razem krowy pasł i jagody zbierał? Tak, pierwszy raz ją widział — zadrgał w nim wewnętrzny radosny śmiech i zamarł w zapatrzeniu. Siedziała półobrócona, oglądał pod giezłem jak bark przechodzi jej w twarde ramię, jak smukleje i kończy się kiścią dłoni; jak szyja sięga trójkątnym wgłębieniem między obojczyki, a niżej pierś wypełnia się dwoma wzgórkami; oglądał półwykręcenie w biodrach, gdy przechylała się do wody, i przygięcie podkurczonej nogi. Sam nie wiedział, że wodzi po niej oczyma, że ją tak po raz pierwszy ogląda, nie wiedział na czym polega jej wdzięk, ten nowoodkryty czar, którego nie dostrzegał tak długo. Radość mieszała się z bólem, z tęsknotą i łaknieniem.

Gdy dopłynęli, burknął nieswoim, zgrubiałym głosem:

— Weź wiosła, poniosę sak — dawniej kazał jej zawsze ryby nosić, nie chciało mu się moczyć odzienia. Nie spojrzała nań, ale zaśmiała się zcicha.

Co go szarpło — abo to wie? Może te szeroko rozstawione oczy, może ta ufność, może ten śmiech, niby plusk strumienia. Spojrzał na ojca, wzruszył ramionami: cóż może rzec — sam nie wie. Szarpło i już.

Szli obaj ciężko, milczeli. W pewnej chwili Lubusza warknął:

— Napędzę dziewkę — usłyszał zadyszany szept chłopca:

— To i ja pójdę za nią... obaczycie — Lubusza spojrzał zdumiony, podniósł pięść, rypnął syna, aż chłopak zachwiał się. Odskoczył, w szarych oczach wzbierały łzy, pod okiem nabrzmiewający siniec.

— Bijcie. Nie przymusicie mię. Nie przymusicie — krzyk przechodził w cienki jazgot. Twarz Lubuszy stwardniała, ni śladu przyrodzonej łagodności, głos świszczący:

— Ty sysunie... ty pomiocie wiewiórcze... ty żabo... Pójdziesz za nią? Myślisz to, że nie wytropię cię, a nie zaćwiczę później. Ty śmierdzielu... Wszyscy byście uszli... ostawili polanę. Niech gnije dąb Śliźniów, a groby dziadów, niech grzyb zeżre chaty. Jak Giez... psiamać, Ślizień, taki on Ślizień, wywłoka. Uszedł, ścierwo, a później przyjeżdżał... na koniu, psiamać... nadymał się. W zadku mam Gza... i księdza... i drużynę, słyszysz? Nie puszczę. A ruszy który? ubiję. Na śmierć ubiję. Nie dam Śliźniom rozpełznąć się, nie dam polany.

Stał na rozstawionych nogach, pięści miał zaciśnięte. Podniósł głowę, oczy mu złagodniały. Przed nim łan dojrzałego żyta. Gęsto strzelała w górę słoma, zielonkawa od ziemi, wyżej szaro-złota, błyszcząca. Ciężko chyliły się kłosy. Lubusza zerwał jeden, rozsbarł, wykruszył, zdmuchnął plewy z otwartej dłoni. Wsypał ziarna do ust. W oczach miał miękki blask. Nie zdarnym ruchem wyciągnął rękę, przewiódł dłonią po kłosach. Nie odwracając głowy, powiedział cicho:

— Dojrzałe. Będziemy zaczynać. Dadźbóg z nami.

Żarek siedział na kupie zrzuconych z pola kamieni, brodę oparł na pięściach. Widział, jak przygarbione lekko plecy ojca prostują się. Lubusza głęboko zaczerpnął powietrza, poczuł zapach rozgrzanej w upale słomy, zapach żyta. Odwrócił się, ciężko przyczłapał do syna, głos mu drgał wzruszeniem:

— Dureń... dureń jeś, Żarek. Widzisz: dobry przyszedł rok, będzie ziarno dla Śliźniów. Jutro zaczniem żniwo, pójdź, niech matka piecze ptaki, niech gotuje się. Nabityś dureń... — w zwiotczałej twarzy cicha radość. Raz jeszcze obrzucił pole wzrokiem, poszli w zgodzie.

Lato tego roku było upalne, oprócz tylko burze chodziły stronami. Cała polana wylegla na pole. Chrzęst zboża, ostrza błyskają. Sierp odgina kępę żyta, lewa dłoń ujmuje szorstką garść słomy, żniwiarz płynnym ruchem przerzuca za siebie zżęty pęk; gdy skręca powrósło, wyprostowuje bolący krzyż — w oczach czerwone skry. Pachnie kurzem, słomą, żniwem. Monotonny ćwierk koników polnych. Krople potu kapią na spaloną ziemię, wsiąkają natychmiast. Pierwszy idzie Lubusza, żnie spokojnie i równo, szerokim przesiekiem wcina się w łan; za nim Dobracha, dalej ukośny rząd mężczyzn i białek. Postać zajmuje czterdzieści sierpów, gęstą szczotką żółci się ścierń — „Chleb Dadźboże, chleb". — Chłopcy stawiają snopy, śmieją się, pokrzykują. Z rozmachem osadzają starostę, wokół osiem snopów, na wierzch chochoła — długim wężem ciągną się kopice, niby baby w słomianych chustkach schylone ku południowi. — „Chleb zbieramy, chleb. Ładо, ładо, Dadźboże!" — rząd żniwiarzy schyla się głęboko przed każdą garścią zboża. Upał rośnie, spalony kark pali, w ramionach i w piersi omdlenie, w uszach stuk; pot oczy zalewa.

Z nad łanu dojrzał Lubusza dwóch konnych; jechali wolno, rozglądając się. — „Pewno Wielką Drogą na Jomsborg, będą stan brać" — pomyślał niechętnie; skinął na Dobrachę

— Prowadź żniwo... — założył sierp na ramię, poczłapał ku jeźdźcom. Tam ci dojrzeli go, zatrzymali konie; gdy się zbliżał, pozdrowili życzeniem

— Na spor!

— Bywajcie w zdrowiu — spoglądał niechętnie na obu — młodego i starca — nie w porę przyjeżdżają, od rywają od żniwa. Stary był drobny, krępy, mamkał wargami. Oczka małe, głęboko osadzone, ledwo je widać, a wiercą, jak para świderków; cała twarz posiekana w poprzek i wzdłuż gęściutką siateczką zmarszczek. W twarzy młodego niecierpliwość, zęby zacinają dolną wargę, oczy ciekawe, biegają dokoła, widzą wszystko; szybko przeliczyły żniwiarzy, wróciły do Lubuszy, zetknęły się z jego zasłoniętym wejrzeniem, starły się od razu z kmieciem. Głos mateliczny, władczy:

— Wyście starosta Śliźniów?

— Jam ci...

— Ksiądz nas tu przysłał na polanę. Będziem gród księdzu stawiać, wielki gród.

— Gród! — wykrzyknął Lubusza. Śliźnie, gapiący się z nad niedożętego łanu, widzą jak Lubusza wyciąga rękę do góry jak szerokim ruchem wskazuje na niwę, jak prostuje się i nogą tupie. Widzą — gniew miota cichym, łagodnym Lubuszą, gniew wobec dwóch konnych i zbrojnych — księżych wysłańców. Porzucają sierpy, mimo woli kupią się do siebie, patrzą bez słowa. Lubusza krzyczy do obcych zdławionym gardłem:

— Gród? jaki gród? Był tu Piekuta, drzewo zwieźlim, dość... A nynie żniwo... sami widzicie. Jakże to my tak... od roboty. Nynie żniwo, zboże dojrzałe — i z rozdzierającą rozpaczą, na cały głos:

— Żniwo!

Młody odgarnął z czoła zwisającą czuprynę.

— Widzę je, wasze żniwo. Białki będą żąć, otroki snopy stawiać. Męże pójdą do roboty... nakaz księdza.

Lubusza plasnął dłońmi po udach, szyję wyciągnął, obejrzał się. Dojrzał zbitą gromadę Śliźniów, wróciła mu pewność.

— Nie trza grodu Śliźniom.

— A księdzu trzeba.

— Księdzu? Niechże ksiądz niewolnych bierze, gród stawia. Nam do księdza nic i księdzu... — oblizał prędko wargi i rąbnął:

— I księdzu nic do Śliźniów! — Czekał wybuchu gniewu, grożenia i wrzasku, zaciął się: nie ustąpi. Nie doczekał się. Stary jeno zamamlał szybciej wargami, zawiercił drobniutkimi źrenicami, młody stuknął po karku konia, niespodzianie dla Lubuszy zaniósł się śmiechem. Pewność grała w tym śmiechu, pewność i drwina, i naigrawanie się. Lubusza słysząc ten śmiech, zaczął wewnętrznie się cofać, rozwiała się w nim zaciekłość; podniósł na obcego oczy — znowu przestraszone i łagodne, — zamamlał ustami całkiem, jak stary Zmarsk. Kłąb znów klasnął po koniu, na spoconej szyi biało odbiła się jego dłoń; zawołał przez śmiech:

— Później będziem mołwić, nynie wiedź nas do chaty, zdrożeniśmy i głodni; od spiekoty nam zaschło w gardle. I konie trza na paszę puścić — nie oglądając się na Śliźnia, ruszyli obaj ku widniejącemu w dali obejściu; Lubusza powlókł się za nimi, głowę miał pochyloną, widział jeno pęciny koni i końce ogonów. Naisto, żelazną obręczą dusił ksiądz Śliźniów. W pewnej chwili odwrócił się, dojrzał stłoczonych żniwiarzy — gadali coś do siebie i wymachiwali rękami — krzyknął w duszącej go wściekłości i strachu:

— Co stoicie, psia wasza... co stoicie! Do roboty! Żniwo!... — pięścią im groził. Rozsypali się po postaci, sierpy zagrały. Czerwony żar skrzył się w nieruchomym powietrzu.

Lubusza wrócił, gdy już słońce chyliło się ku zachodowi. Nie wziął sierpa, stał lekko przygarbiony, patrzył jak pracują. Raz po raz zerkali ku niemu, nie śmieli przemówić. Dopiero, gdy dożęli do końca pola, krwnął dłonią. Gdy podeszli, przestraszyli się: twarz mu poszarzała, stała się sztywna, jakby zdrewniała; patrzył groźnie. Powiedział:

— Z pola nie pójdziecie do chat. Zbierzcie się pod dębem, mam coś wam rzec. Słyszycie?

Dobek wykrzywił dziobatą twarz, spytał:

— Kto zacz one przywłoki? — Lubusza mruknął:

— Głupi — i odwrócił się. Odchodził wolnym krokiem. Starsi — Dobek, Kuwacz, Dobracha, Żywuła — spojrzeli po sobie ze zdumieniem: całkiem stary Ślizień, ubity za rzeką przez Jomsborczyków. Taż twarda, ciosana gęba, toż pogardliwe spojrzenie, tenże ton i to samo słowo: „głupi". Patrzyli za odchodzącym — jak by za dziadem patrzyli. Gdy doszedł krańca pola, rozjazgotali się.

— Widzieliśta? Odmieniło ji.

— Jak pomnę... nigdy taki nie był.

— Jako to patrzył — krzyczała Żywula — lelum, aże mi mrozem po karku przeszło. Całkiem dziad, lelum, może dziad wszedł w niego? Tfu! — obejrzała się, przykurczyła — może dziad? Na zło nam taka zmiana, tfu! Jako to ślepiami wiercił spod białych kudłów, tfu! zapadnij się w ziemię, wąpierz... wąpierz...

— Cichaj, głupia! — huknął Dobek. — Rozkrakała się, jak przysmalona wrona. „Wąpierz, wąpierz"... — przedrzeźniał, aż przysiadł na swych koślawych nogach — raz was za pysk wziął, raz starostą ostał, a one, wiera, jeno wydziwiać umią. Cichajcie, abo... Wieczorem pod dąb, a nynie do roboty, zachód blisko — bali się opryskliwca więcej, niż Lubuszy, rozsypali się po polu. Wyciągały się rzędy kopic.

Pod dąb schodzili się powoli, po jednemu, siadali w kręgu. Biała mgła słała się płasko po łęgach, niby rozlane mleko. Nad ziemią zawisł cień, niebo gorzało. Wieczorny powiew mile chłodził spocone czoła i karki, ociężali byli od żaru całego dnia. Patrzyli na siedzącego pod dębem Lubuszę — wcielenie starego Śliźnia — strach ich brał. Gadali szeptem. Lubusza milczał, wodził tylko po nich wzrokiem, odwracali oczy pod tym twardym, dziadowym wejrzeniu. Żarek, którego ojciec wcześniej zawołał z pola, by usługiwał gościom, półgłosem bajał siedzącym:

— Ojciec zrazu milczeli, gadał ten młody, stary gębą ruchał bez głosu. Srogi woj ten młody, oho! srogo krzyczał na ojca. Że Śliźnie zastała woda, że ksiądz toporem będzie Śliźniów bił, że gród trza stawić nad rzeką, że Śliźnie w jednym są księstwie... A ociec zaparł się, by wół racicami, ni kroku. Aże młodemu gardło schrypło, dzban rozbił o stół. Potem jeść wołał, nażarł się i spać poszedł na siano. Ociec...

— Śliźnie... — doleciało od dębu. Żarek zmilkł, wyciągnęli szyje. Lubusza stał, usta otwierał, patrzył na krąg. Powiedział:

— Żelazną obręcz zakłada ksiądz na kark Śliźniom — przez krąg przeleciał krótki szmer, ucichł. Lubusza rąbał słowo po słowie, jakby płasty drewna odwalał:

— Żelazną obręcz... pojmujecie to, Śliźnie? Ksiądz chce gród stawić. A wiecie, co znaczy ten gród? Obręcz. Dotąd byli my wolne kmiecie, co nam księstwo i ksiądz? A nynie stanie gród... a w grodzie stróżą... grododzierżca i opolny starosta. Jego już wola będzie... grododzierżcy, nie wieou pod dębem, nie rodowego starosty. Mało wiele a cyrkiew postawią, Kyrii Krysti obłaty każą dawać, a dań, a powod, a narzaz, a ślad... odetchnienia nie będziecie mieli. Gadałem to wam: nie rąbać przesieku, nie dać rębać. Przerąbali, a co k'wam Wielką Drogą przyszło? Niewola. Żelazna obręcz — i naraz wyciągnął ręce do milczącego kręgu, krzyknął:

— Śliźnie!...

Ponure milczenie. Cisza. Wieczorny powiew ozemrze w liściach dębu. Niebo powoli gaśnie.

Kuwacz miał rozstawione nogi, patykiem dłubał w ziemi, podniósł wąskie, wiecznie zmrużone oczy, zapiszczał:

— A co zrobim, skoro nakazał ksiądz... Skoro komornika przysłał... Co zrobim?

— Nic nie zrobim, naisto. Wola księdza.

Przeleciał pomieszany gwar:

— Wola księdza...

Lubusza ruszył na nich spod dębu. Pierwszy raz w swoim życiu zaciekł się, on, co się cofał płochliwie przed byle oporem — choćby białki, choćby otroka. Nad głowami siedzących powiódł wzrokiem po polanie — mrok zapływał, las dokoła zlewał się już z polami, nie rozróżnisz granicy, od puszczy szła czarniąca ćma. Patrzyli na jego ciemną postać, mocną jak postać dziada, nie wiedzieli, że nawet teraz, nawet w tej chwili czuje Lubusza w głębi lęk przed oporem gromady, lęk przed Kłąbem, lęk przed tym wszystkim, co przychodzi ku nim Wielką Drogą. Ale dusił w sobie lęk, wiedział: oto stoi na rozstaju. Na rozstaju stoją oni wszyscy — Śliźnie, polana. Ci dwaj, co nynie chrapią w jego własnej chacie, są posłami przemiany — koniec Śliźniom! I ponad lęk, ponad łagodną ustępliwość, ponad wstręt przed gwałtem wyrastało w nim poczucie, że trzeba się bronić. On jest starostą rodu, na niego patrzą dziady, leżące wokół świętego dębu, jemu grożą pomstą, jeśli dozwoli zaprzepaścić ród. Wszystkie odczucia zlały się w nim w jednolitą bryłę, podniósł głowę, przemówił:

— Słuchajcie Śliźnie, słuchajcie mnie, rodowego starosty. „Wola księdza", gadacie? A czyli spytaliście, jaka jest wola rodu, czyli ta sama, co księdza? Wola dziadów, tych, co trzebili polanę, co chaty stawiali, co pierwszą parą wołów zaorali świętą ziemię? Czyli spytaliście? A jeśli wam powiem że wola dziadów nie ta, co księdza, co tegdy?

Oprzykliwy głos Dobka:

— Jakaż to wola?

— A taka... — Lubusza nogą tupnął — taka: nie puścić obcych na polanę.

— Co ci Lubusza? Wojnę będziem wiedli z księdzem? My kmiecie...

— Tako i jest ono... my kmiecie. A wiecie, co prawił mi on Kłąb, komornik księdza? Kazał mi trzech mężów dać do drużyny... na zatracenie.

Jakiś młody głos krzyknął z mroku:

— Wżdy Giez poszedł do drużyny i nynie ważny woj z Gza, wielmoża.

— Wielmoża... Wywłoka on Giez... cudzy, nie swój, nie Ślizień — rąbnął Lubusza. — My kmiecie... nam orać i siać, i zbierać. Nie wojować.

— Ha ha ha... — Dobek zaśmiał się drwiąco — a chcesz z księdzem wojować.

— Ale u siebie... doma. Doma, Śliźnie, pojmujecie? Zasiekiem Wielką Drogę zamknąć, nie puścić obcych na polanę. Mało to wojowali Śliźnie... na Ostrowiu, na Turzycy, na Wilczych Dzierżawach. Jomsborczyków pobiliśmy, o wał uciekały gady od Śliźniów. Mam święty topór z kamienia, nikt nie pobije nas, jeśli świętym toporem będziem polany bronić. Słyszycie? U siebie. Doma.

Dobek zerwał się, krzyczał pełnym głosem: nie do Lubuszy, do gromady:

— Nie słuchajcie ji, Śliźnie, szczeka Lubusza. Jakoże nam wojować z księdzem, nie puścić na polanę. Przyjdzie ksiądz z drużyną, z łucznikami a szczytnikami, a z pancernymi na koniach: ni popiołu nie ostatnie ze Śliźniów.

Lubusza mruknął:

— Nie przyjdzie.

— Czemu to?

— Wojnę zamyślił ksiądz.

— Jaką wojnę? Wżdy wojował nie raz, nie dwa...

— Nie taka to wojna, jakie wiódł wprzódy. Wielka wojna. Już mu nie starczy drużyna na ona: tak Kłąb bajał. Chce iżby wszystkie rody ją wiodły. I Śliźnie.

Teraz się poruszyli.

— Śliźnie?...

— Tako zamyślił ksiądz. A wżdy my kmiecie... co nam ona wojna, poco ona Śliźniom? Nam orać, siać i zbierać. Mało ludzi księdzu, bajał Kłąb, choć ksiądz Śliźniów zaprząc w jarzmo. I tu chce przywieść wojnę... na polanę. Dlatego i stawi gród, z grodu mają bić się Śliźnie za księdza. To i zebrałem was: nie dać budować grodu, spalić drzewa, wygnać Kłąba a Zmarska, Wielką Drogę zasiekiem zawalić, siedzieć na polanie, orać i siać. Pojmujecie?

Zapadła cisza — tylko sapanie słychać. Ktoś mruknął w ciemności „A no", ktoś zaklął. Lubusza wsłuchiwał się w tę ciszę, w to sapanie, w rzadkie pomruki, czuł, jak w nim opada pewność i upór, jak znowu ogarnia go lęk. Nie chcą Śliźnie na polanie bronić swej woli, nie zadrą z księdzem. W tejże chwili i on zdał sobie sprawę, że szczekał. Puste to było gadanie — nie porwać się Śliźniom na księdza. Koniec przyszedł na Śliźniów — wolny, puszczański ród. Już oni są w księstwie, powoli, nieznacznie wrośli w księstwo. Kiedy? jak? Zaczęło się od ucieczki Gza — raz jeszcze zapiekła się złość w Lubuszy na stryja — a później Wielka Droga, wieści sączące się na polanę, przyjazd Piekuty... I nynie gród, jak kamień na grobie — zacisnęła się żelazna obroża. Koniec Śliźniom — Lubusza wyszedł z kręgu, powlókł się ciężko do chaty — jakby wór kamieni niósł na plecach. Za nim jazgotał krąg urywanymi narzekaniami, bezpłodnym żalem.

(dokończenie na str. 9)

Artur Hutnikiewicz

O sztuce pisarskiej Stefana Żeromskiego

Dzieje pośmiertne wielkich twórców są niejednokrotnie równie zmienne, burzliwe i obfitujące w niespodzianki, co dzieje ich rzeczywistego żywota. Jest to jak gdyby dalszy ciąg ich życiowych zawodów i klęsk, czy też triumfów i nieoczekiwanych sukcesów. Zmieniające się dążenia, aspiracje, upodobania przychodzących i odchodzących pokoleń mają decydujące znaczenie w ustalaniu stosunku poszczególnych epok historycznych wobec dzieł wielkiego twórcy, to też rzadko się zdarza, aby losy pośmiertne jakiegoś wybitnego pisarza czy artysty układały się w nieprzerwane pasmo samych — dajmy na to — powodzeń, czy też samych jedynie porażek: zwyczajnie momenty spadku popularności i wzięcia przeplatane są okresami niespodzianych renesansów sławy i rozgłosu.

Zeromski przeżywa bez wątpienia w chwili obecnej swoją fazę zmierzchu i względnej niepopularności. Charakterystyczne, że w owej namiętnej dyskusji z pierwszych lat powojennych na temat realizmu i zadań powieści nowoczesnej o Żeromskim mówiono nie wiele, zbyt mało, jeśli zważymy na rolę, jaką dane było odegrać za życia temu społecznikowi i zaprzysięgłemu orędownikowi postępu. Ukazujące się od wielu miesięcy nowe wydanie zbiorowe pism autora „Popiołów" pod pieczołowitą redakcją prof. Pigonia nie wywołało jak dotąd silniejszego odzewu w krytyce naszej. Poza próbą aktualizacji pisarza, podjętą przez A. Derugę, poza wznowieniem interesującego studium J. E. Płomieńskiego na temat „Przepióreczki", nie można było do niedawna zanotować żadnej poważniejszej pozycji na koncie wiedzy naszej o Żeromskim.

Dwie są — zdaje się — zasadnicze przyczyny owego milczenia, jakim odgrodziła się epoka nasza od twórcy „Ludzi bezdomnych". Pierwsza to zadziwiająco szybka deaktualizacja postawy ideologicznej tego pisarza. Społecznikowska publicystyka Żeromskiego, która tak ujemnie zaciążyła nad artystyczną stroną jego dzieła, mści się jeszcze pozgonnie przyśpieszając proces „uhistorycznienia" tego autora, którego utwory w swej programowej treści są wyrazem epoki całkowicie zamkniętej i skończonej. Wobec dogłębnych i rewolucyjnych przeobrażeń, jakie niesie dzień każdy, społeczno - ideowe zalecenia twórcy „Słowa o bandosie" stały się nieaktualne dla pokolenia dziś dojrzałego, a stawać się będą coraz bardziej obce i niezrozumiałe dla pokolenia, co wejdzie niebawem w życie.

Druga przyczyna owego rozdźwięku, jaki istnieje niewątpliwie pomiędzy pisarzem, a jego czytelnikiem współczesnym, zdaje się tkwić w środkach i formach artystycznego wyrazu, właściwych Żeromskiemu. Krytyka i publiczność okrzyczała go mistrzem mowy polskiej i pasowała na czołowego stylistę. Wyrok bez wątpienia uzasadniony, a jednak ten to właśnie styl wyrafinowany i patos słowa zamiast zbliżać oddalają dziś coraz bardziej od dzieł wielkiego pisarza. Język Żeromskiego, podziwiany niegdyś jako zjawisko jedyne i niepowtarzalne, w perspektywie czasu stracił wiele z tej wyjątkowości i „jedyności", jaką mu przypisywano, oddalając bardzo ścisłe związki z epoką, w której kult patetycznego słowa przerodził się w oczywistą a nieznośną manierę. Żeromski okazuje się dziś w większym, niż by się zdawało, stopniu dzieckiem swego czasu, dźwigającym wespół z plejadą współczesnych mu towarzyszy po piórze wszystkie obciążenia literackie Młodej Polski i to właśnie młodopolskie dziedzictwo utrudnia w pewnym stopniu nawiązanie bliższego kontaktu pomiędzy pisarzem a epoką współczesną, co skłania się raczej ku męskiemu opanowaniu, lapidarności i oszczędności wysłowienia.

Jeśli jednak dzieło Żeromskiego nie może liczyć dziś wśród szerokich rzesz czytelników na rezonans równie rozległy, jak przed kilkunastu jeszcze laty, to dla badań literacko - naukowych przedstawia już w chwili obecnej przedmiot szczególnie pociągający. Ta właśnie „historyczność" i częściowa przynajmniej nieaktualność problematyki, jaką wykazuje spuścizna pisarska autora „Wiernej rzeki", stwarzają dystans nieodzowny dla oceny obiektywnej i podjęcia badań sine ira et studio w ścisłym tych wyrazów znaczeniu. Żeromski dojrzał jednym słowem do naukowego badania, a zbiorowe krytyczne wydanie jego pism stwarza tym badaniom niezbędną podstawę.

Sprawa jest o tyle pilna, niemal paląca, że zaniedbania w tym zakresie są nadzwyczaj poważne. Wyjąwszy kilka wyjątkowych dosłownie pozycji, cała literatura „naukowa" i „krytyczna" o Żeromskim ogranicza się właściwie do publicystyki, i to nie zawsze najwyższej klasy. Rozległe obszary zagadnień leżą dotychczas odłogiem i bez przeorania ich w szczegółowych studiach opartych o metody współczesnego literaturoznawstwa nie zdołamy ani o krok postąpić naprzód ku przyszłej syntezie, która winna ustalić rolę, znaczenie i pozycję pisarza w dziejach naszej literatury.

Na przejściowym etapie wiedzy naszej o Żeromskim tym większe przeto znaczenie przypada w udziale wydanej nie dawno książce Stanisława Adamczewskiego[1]). Nie jest to rzecz całkowicie nowa. Studium ukazało się po raz pierwszy jeszcze w r. 1930 pt. „Serce nienasycone", w II, obecnym wydaniu, uległo jednakże pewnym modyfikacjom. Zarówno wprowadzone zmiany, jako też fakt, że w literaturze naukowej jest to w chwili obecnej najobszerniejsze kompendium wiedzy o Żeromskim, skłaniają do omówienia książki, która przez długi zapewne jeszcze czas będzie zarówno podręcznikiem uniwersyteckim dla studentów polonistyki, jak też wyczerpującym informatorem i przewodnikiem gruntownym po dziedzinie twórczości pisarza. Jest jeszcze jeden ponadto dodatkowy, a niemniej ważny wzgląd, co zachęca do bliższego przyjrzenia się pracy prof. Adamczewskiego. To obszerne studium budzi niejako zastrzeżenia zarówno przyjętą metodą, jak też z uwagi na niektóre sądy i sformułowania. Proszą się te spostrzeżenia autora o komentarz czy retusz tym więcej, że w nauce naszej najbardziej chwiejne, niepewne, a nawet wątpliwe niekiedy supozycje i hipotezy zdradzają skłonność do przeistaczania się w niezbite „pewniki", których potem żadnym sposobem z zakresu obowiązującej wiedzy naukowej usunąć nie można.

Jeśli idzie o stosunek nowego wydania do I edycji, to przede wszystkim należy podkreślić, że uległ zatarciu i retuszowi ów niepożądany w dziele naukowym liryczno - entuzjastyczny, bardzo osobisty ton i sposób wykładu. Zmiana uwidoczniła się zarówno w rzeczach czysto zewnętrznych, takich jak zastąpienie dawnych zbyt literacko i patetycznie brzmiących tytułów nagłówkami ściślej precyzującymi temat czy problem w rozdziale danym rozpatrywany, jak też w rzeczach bardziej istotnych, w samej treści wywodów, głównie w syntetycznych uwagach, umieszczonych w zakończeniu każdego rozdziału. Autor odebrał tym syntetycznym zamknięciom ich dawną literackość nadając w zamian sformułowanie bardziej rzeczowe.

[1]) St. Adamczewski — „Sztuka pisarska Żeromskiego", Kraków, 1949 r., wyd. M. Kot, Literatura — Sztuka — Krytyka. Biblioteka Naukowa Nr 3, str. 448.

Treść książki została podana w układzie nadzwyczaj jasnym i przejrzystym. Część pierwszą poświęcił autor tematom i problemom. Omówione zatem zostały „motyw cielesności i problem śmierci", motywy religijne, społeczne i miłosne, zagadnienie zła, tematy muzyczne wreszcie i krajobrazowe w dziele Żeromskiego. Autor zastosował w książce metodę opisu ilustrowanego gruntownie nazbyt może obficie zebranymi cytatami, to też jako rejestr i swoistego rodzaju inwentarz motywów, występujących w twórczości autora „Róży", studium nie ma sobie równego pod względem wyczerpania tematu. Niczego tu dorzucić już nie można i nie ma potrzeby. Część druga poświęcona została zagadnieniom techniki, przede wszystkim sprawom słownictwa i stylu pisarza. Rozdziały omawiające język i styl są bodajże najlepsze w książce, dają tak wyczerpującą charakterystykę właściwości Żeromskiego w tej dziedzinie, że przyszły monografista nie wiele będzie mógł do wywodów Adamczewskiego dorzucić. Nie wyczerpują natomiast całokształtu problematyki uwagi dotyczące sztuki charakteryzatorskiej i spraw kompozycji, nie wiadomo dlaczego objęte mianem techniki, gdy są to kwestie artyzmu sensu stricto, z tzw. techniką czyli rzemiosłem pisarskim nie mające nic wspólnego. Na ogół jednak książka przedstawia się imponująco. Żaden z pisarzy polskich nie doczekał się studium rejestrującego z równą skrzętnością i pietyzmem wszystkie motywy, obrazy, wątki, stylistyczne i językowe upodobania czy obsesje poety, ukazującego tak dobitnie i przekonywująco bogactwo tworzywa, z którego kształtował Żeromski swoją wizję poetycką.

A jednak mimo szczerego uznania dla autora, który wzbogacił literaturę naukową o dzieło bez wątpienia cenne, nie sposób przyjąć książki prof. Adamczewskiego bez istotnych zastrzeżeń. Nie tylko dlatego, że studium jego pomija zupełnym milczeniem problemy ideologiczne, bez uwzględnienia których obraz twórczości Żeromskiego wypadnie zawsze blado i niepełnie. Możemy wyrazić żal pod adresem autora, że w drugim wydaniu nie rozszerzył swej książki o tę właśnie dziedzinę, zagadnień, ale nie sposób czynić mu z tego powodu zarzutów, skoro dzieło pomyślane było z góry jako „monografia opisowa". Chodzi o rzecz inną, istotniejszą, o metodę w książce zastosowaną, metodę, na którą w dzisiejszym stanie nauki pisać się już w pełni chyba nie można.

Książkę przenika duch integralnej, absolutnej analizy. Autor rozbija jakgdyby, atomizuje dzieło Żeromskiego na poszczególne motywy, wątki, obrazy, fragmenty, zdania i słowa, bierze je pod szkło powiększające i ogląda. Fragmenty te, rozpatrywane same w sobie, w absolutnej niekiedy izolacji od całości, uderzają niewątpliwie swoim pięknem. Rzecz to całkiem zrozumiała, jeśli uświadomimy sobie ową tylekroć razy przez krytykę podkreślaną zdolność Żeromskiego do tworzenia w obrębie dzieł swoich fragmentów niewysłowionej piękności, prawdziwych poematów, pod względem artystycznym w pełni doskonałych. Nasuwa się jednakże pytanie, czy tego rodzaju atomizująca, rozpatrująca literackie zjawiska w izolacji metoda badania może odsłonić nam istotnie znamienną charakterystyczne sztuki twórczej danego pisarza? Mamy w tym względzie wątpliwości. Wszak sztuka literacka jest sztuką par excellence syntetyczną, a dzieło poezji działa na nas nie pięknością poszczególnych motywów, fragmentów, obrazów, urokiem słów, wymyślnością składniczy zastosowaniem jakichś niezwykłych środków konstrukcyjnych, lecz harmonijnym zestrojeniem najprzeróżniejszych elementów w jednolitą całość. Każdy fragment, każdy motyw i słowo znajdują swój sens, uzasadnienie i prawo do istnienia tylko wówczas, jeśli są celowe z punktu widzenia całości i z tego przede wszystkim punktu winny być oceniane. Każde zatem badanie naukowo - literackie, jeśli ma prowadzić do wyników obowiązujących, winno koncentrować się w pierwszym rzędzie wokół zagadnień najistotniejszych i rozstrzygających, tj. zagadnień postaciowania czyli organizowania i kształtowania wyobrażalnych przedmiotów, tudzież problemów kompozycji, w tych to bowiem najwyższych kategoriach artyzmu streszcza się umiejętność literackiego tworzenia. Ukazując nam składowe elementy dzieła Żeromskiego w całkowitej izolacji, w oderwaniu od całości, autor nie pokazał właściwie sztuki pisarskiej Żeromskiego, bo sztuka literacka to nie tylko bogactwo motywów i problemów, zdolność tworzenia sugestywnych obrazów i postaci, lecz przede wszystkim umiejętność wiązania i komponowania poszczególnych składników w całości wyżej zorganizowanej. Metoda wyłącznie opisowa dała w ostatecznym rezultacie niezupełnie prawdziwe wyobrażenie o pisarstwie Żeromskiego. Czytelnik mniej zorientowany wyniesie niewątpliwie z lektury wrażenie, że dzieło Żeromskiego to jakiś twór doskonały, niemal bez skazy. Autor studium wie dobrze o poważnych i istotnych niedomogach sztuki pisarskiej autora „Popiołów", nie brak w jego książce uwag nadzwyczaj słusznych w tym względzie, lecz zastrzeżenia owe tak nikną w zalewie entuzjastycznych zachwytów, że trzeba je dopiero z trudem wyławiać. Obrana w książce metoda badawcza nie pozwoliła autorowi ukazać właściwości sztuki twórczej Żeromskiego w całkowitej pełni, zgodnie z obiektywnym stanem rzeczy.

Jest jeszcze druga sprawa, co budzi niepokój w toku lektury. Mimo skasowania owych nazbyt lirycznie brzmiących nagłówków z 1 wydania, mimo retuszu w niektórych partiach tekstu, zasadniczy zrąb książki pozostał niewzruszony. Pozostał zatem i ów ton superlatywu i zachwytu, który jednego z krytyków przedwojennych skłonił do określenia książki dowcipnym, lecz trafnym mianem „skatalogowanego entuzjazmu". Ów entuzjazm, osobiste przywiązanie autora do ulubionego pisarza zaciążyły ujemnie nad obiektywizmem badacza. Wiadomo, że w bogatej ilościowo literaturze krytycznej o Żeromskim, mimo jej publicystycznego na ogół charakteru, znajduje się jednak kilkanaście pozycji poważnych, z którymi liczyć się bezwarunkowo trzeba, wypowiedzi krytyków tej miary co Irzykowski, Płomieński, czy z obcych Backvis. Ustawiczne rwanie się „ogniw ciągłości literacko - intelektualnych tradycji", na które użalał się słusznie ostatnio J. E. Płomieński, zaczynanie wszystkiego od nowa, prowadzi często w krytyce naszej nie tylko do „wybijania drzwi dawno już otwartych", lecz co gorsza skazuje na niepamięć i niezasłużone zapomnienie wiele sądów niewątpliwie trafnych, którym od dawna należy się trwałe obywatelstwo w oficjalnej nauce. Entuzjastyczny, nazbyt osobisty stosunek do przedmiotu sprawił, że książka o „sztuce pisarskiej Żeromskiego" nie zajmuje właściwie żadnego stanowiska wobec poważnych zastrzeżeń i obiekcyj, jakie pewna część krytyków i badaczy dziełu autora „Popiołów" od dawna stawiała. Tam, gdzie książka do nich nawiązuje, czyni to jak gdyby nawiasowo bez wyciągnięcia właściwych wniosków i głębszego zbadania sprawy. A przecież uwzględnienie wspomnianych obiekcji, które — nawiasem mówiąc — znajdują niejednokrotnie potwierdzenie całkowite w toku szczegółowych dociekań badawczych uchroniłoby książkę przed szeregiem twierdzeń, które domagają się stanowczej korektury. Z uwagi na ograniczoność miejsca zwróćmy dla przykładu uwagę na dwie tylko sprawy.

Ustaliło się w krytyce tradycyjnej przekonanie, że Żeromski jest pierwszym erotystą w literaturze polskiej. Sprawy miłości to podobno dziedzina, której władcą i piewcą jest Żeromski nieprześcignionym. Książka omawiana to tradycją usankcjonowane twierdzenie powtarza bez najmniejszej próby kontrolnej. A przecież rewizja taka wydaje się konieczna. Wśród pisarzy, któ-

(Dokończenie na str. 6).

Charles Péguy

ZAMEK NAD LOARĄ

Na wzgórzach pochylonych nad piękną doliną
Zamki lśnią zdala, jak święte ołtarze
I w świtów majestacie, w zachodów pożarze
Loara i wasale jej powoli płyną.

I tworzy orszak dworski dwadzieścia tych nazw.
Od imion innych zamków one dźwięczą lżej
Te nazwy to Langeais, Saint-Aignan, Valençay,
Chenonceaux i Chambord, Azay, Le Ludle, Amboise.

Ale znam jeszcze jeden zamek nad Loarą,
Który wznosi się wyżej niż pałac Blois,
I niż tarasy z których ostatnich Valois
Żegnało słońce ginące za nocy kotarą.

Tam gzyms delikatniejszy i lżejsze sklepienie
Trwalsza jest i godniejsza kamienna koronka
Godność i honor i śmierć nieuchronna
Dzieje swoje w serdeczne zamknęły kamienie.

Pamiątka taka na tym brzegu pozostała
Po dzieweczce, co konno ruszyła przez wodę
I już jej duszę czystą, jej spojrzenie młode
Witała nadchodząca nieśmiertelna chwała.

Gdyż dziewczę, które z Touraine krainy szło
Było tą samą, co później chyba tylko cudem
Jedynym słowem rządząc i armią i ludem
Zstępowała na Meung i szła na Jargeau.

Przełożył Bogdan Ostromęcki

Zygmunt Lichniak

POWIEŚĆ CHŁOPSKA (III) *)

9

Konsekwencją w realizowaniu zamierzeń artystycznych powieści chłopskiej oraz głębszą jej koncepją zdaje się przewyższać i Piętaka i Gałaja niesłusznie przez powojenną krytykę przemilczany Władysław Dunarowski.

Dwie pozycje[2]) jego dorobku pisarskiego zasługują nie tylko na wnikliwszą analizę i głębsze zainteresowanie krytyków, ale także na polecenię tych książek jak najszerszym kręgom odbiorców. Już rok temu zwracaliśmy na to uwagę.[3]) Nie będziemy powtarzali opublikowanych wtedy wywodów, przypomnimy jedynie ich ogólne wnioski, które nic nie straciły ze swej aktualności, a nawet — przez powtórną lekturę i zestawienie z innymi dziełami innych autorów — naktualniły się jeszcze bardziej i jeszcze mocniejsze znajdują zaplecze w materiale dostarczonym przez głębszą analizę dzieła i środków jego ekspresji artystycznej.

Koncepcją utworów Dunarowskiego (przede wszystkim powieści „Leżąc krzyżem" choć i nowele „Ludzie spod miedzy" jej służą) nie ma nic wspólnego ze spospronowaną już przez Fika „Nędzologią wsi polskiej". Nie znaczy to wcale aby przedstawiała sielski obrazek „wsi spokojnej, wsi wesołej". Przeciwnie. Mało kto przed Dunarowskim przedstawił tak wyraźnie jak on koszmar biologicznej walki o życie, o chleb o ziemię. Nawet fotografizm Jalu Kurka, nawet chyba pasja społeczna Wasilewskiej nie nakreśliła tak wyrazistych konturów konfliktu ekonomiczno-społecznego polskich chłopów w wieku 20-tym. Dunarowski przygniata mnóstwem charakteryzujących ten okropny stan szczegółów, tworzy z nich ponury, zwarty w kompozycji i jednolity w barwie obraz. Nigdy jednak nie pozostawia czytelnikowi złudzeń, że ta biologiczna walka, że te ekonomiczne okrucieństwa ujarzmiające chłopa są jego największym szczęściem. Zawsze potrafi wyjaśnić, że okropność jego położenia polega na zakłóceniu harmonii stosunków trwalszych niż stosunki ekonomiczne, że nędza chłopa o tyle jest problemem pierwszorzędnej wagi, o ile hamuje rozwój ważniejszy niż rozwój biolgiczny. Dunarowski rzutuje zagadnienia wsi nie na płaszczyznę polityczno-społeczną, lecz ogólnoludzką, pokazuje chłopa nie w układzie zmiennych prawd ustrojowych, lecz w relacji ogólnej, w obrębie niezmiennych praw jednostki ludzkiej, z których najważniejsze jest prawo pełnego rozwoju osobowości. Takie przedstawienie uważamy za głębsze.

Nie chcemy przez przyznanie tej zasługi Dunarowskiemu powiedzieć o innych, że do podobnych celów nie dążyli. Chcemy jedynie podkreślić, że Dunarowski pierwszy po wojnie cel ten zrealizował. Omawianym poprzednio pisarzom, jeśli mieli podobne ambicje, nie udało się ich nawet zasygnalizować. Obydwaj w chłopie przeoczyli człowieka. Dunarowski wydobył go na wierzch, ukazał jego konflikt i tragedię polegającą na coraz mocniej napierającej konieczności sprowadzania zagadnień życia do zagadnień biologii. To co u poprzednio omawianych pisarzy stało się punktem dojścia u Dunarowskiego jest jedynie punktem wyjściowym. Dunarowski swoją powieścią pyta: „Co dalej"?

Pytanie to nadaje książce jej ponad społeczną, ponad polityczną wartość, czyni ją przede wszystkim książką o człowieku. Nie znaczy to wcale, aby Dunarowski zamazał obraz stosunków społeczno - politycznych i warunków ekonomicznych w jakich jego człowiek żyje, aby dawał zamiast konkretnych konturów zagadnienia, mgliste ogólniki, aby rozpływał się we frazesach zapominając o rzeczywistości. Jego powieść opowiada o konkretnej wsi, konkretnie oznaczonego terenu Polski, w konkretnych ramach czasowych. Jak już wspominaliśmy realia opisu zagęszczone są niemal do przesady. Jeśli mimo to powieść na realiach się nie kończy i nie zadowala się funkcją jednego z wielu przyczynków do społeczno-politycznych dziejów wsi polskiej, ale sięga głębiej i przedstawia problem znacznie szerszy, niż sprawa uregulowania stosunków między państwem, a chłopem, to jest to zasługą autora, który umiał właściwie shierarchizować zagadnienia i hierarchizacji tej dać wyraz w swoim dziele. Zyskało ono dzięki temu trwalsze wartości niż wartość jednorazowej deklaracji ideowej czy jednorazowego zamanifestowania słusznych może przekonań politycznych.

10

Koncepcję swoją zrealizował Dunarowski w formie epickiego opisu. Jednak nawet najbardziej porywający opis nie stanowi sam w sobie zwartej konstrukcji powieściowej. Stanowi jedynie jej momenty statyczne, które dopiero z dynamicznymi właściwościami akcji tworzyć mogą pełną całość. Rok temu wydawało nam się, że Dunarowski potrafił dynamikę akcji zastąpić plastyką opisu. Powtórna lektura nie potwierdziła słuszności tamtych spostrzeżeń. Brak akcji w jej konwencjonalnym nawet znaczeniu osłabia zdolność ekspresyjną powieści. Znajdziemy co prawda u Dunarowskiego kilka wątków, kilka sytuacji, które mogłyby się rozwinąć w pełną akcję powieściową, ale nie znalazły one niezbędnego powiązania. Nie stanowią łańcucha pragmatycznych wydarzeń, są raczej dowolnym zbiorem luźnych epizodów. Wprawdzie w końcowych partiach powieści wyłania się pewien jednolity nurt akcji, jednak nie znajduje należytego dla siebie umotywowania konstrukcyjnego, bo nie łączy się zbyt mocno z poprzednio opisywanymi wypadkami. Właściwą „akcję" stanowią z dużym obiektywizmem kronikarskim notowane małe i wielkie wydarzenia wioski.

Położenie głównego nacisku na opisie, na statycznych częściach utworu okupił autor dosyć przykrym rozluźnieniem kontaktu z czytelnikiem, który w ramach dotychczas istniejącej konwencji powieściowej ma jednak pełne prawo domagać się od utworów tego typu akcji choćby w jej najbanalniejszym ujęciu. Dunarowski zbyt śmiało chyba zaprojektował sobie przełamanie tej konwencji, bo jego opis choć bardzo żywy, utyka co pewien czas na martwych punktach dłużyzn i powtórzeń.

Nie małą winę przypisać tu także należy gwarowemu językowi utworów. Problem ten do dziś dnia jest jednym z najtrudniejszych problemów stających przed autorami powieści chłopskiej. Nie pisać gwarą to wyrzec się jednego z bardzo istotnych czynników charakteryzujących środowisko i człowieka, czynników pogłębiających prawdę artystycznej ekspresji. Oddać cały utwór we władanie gwary to zwiększyć niebezpieczeństwo utraty kontaktu z czytelnikiem i narazić się na wiele ewentualnych przeoczeń. Każdy z pisarzy musi szukać złotego środka w oparciu o doświadczenia poprzedników i własne. Dunarowskiemu nie udało się to pośrednie wyjście zbyt dobrze. Jeden bowiem warunek muszą spełniać utwory, posługujące się gwarą: nie mogą wymagać od przeciętnego czytelnika nieprzeciętnej erudycji lingwistycznej. A Dunarowski dosyć często i lingwistę potrafi zaskoczyć jakąś perełką dialektologii, która w pracy seminaryjnej może być gwałtownym objawieniem, ale przy lekturze utworu beletrystycznego jest przeszkodą.

Mimo tych niewątpliwych braków formalnych pozycji Dunarowskiego reprezentują rzetelne osiągnięcia powojennego powieściopisarstwa chłopskiego i stanowią jedne z jego ciekawszych osiągnięć.

Przypuszczać należy, że usunięcie niedociągnięć debiutu w następnych utworach, nad którymi autor zapewne pracuje wzmocni stanowisko Dunarowskiego jako przedstawiciela głęboko przemyślanej koncepcji powieści chłopskiej, która może się po nim wiele spodziewać.

11

Równie ciekawie zapowiada się rozwój pisarstwa Józefa Pogana. Dwie dotychczasowe pozycje[4]) jego debiutanckiego dorobku, coś w rodzaju szkicu powieści i tom nowel, są dowodem autentycznego talentu chłopskiego, jaki w dziedzinie poezji reprezentował kiedyś Kajka czy Rak. Życiorys własny autora, umieszczony we wstępie do „Ugorów" i uwagi profesora Pigonia, poprzedzające ten życiorys, podkreślają wyraźnie samorodny, pionierski w pewnym sensie, charakter wystąpienia Pogana.

Trudno jego książki oceniać jako produkt zorganizowanego warsztatu pisarskiego. Są one raczej dokumentem historycznym, wyrazem świetnego awansu społecznego. Więcej chyba o nich może powiedzieć socjolog, niż krytyk literacki. Ale jednocześnie i „Ugory" i „Cierpki owoc" są wyrazem pewnych ambicji artystycznych i jako takie domagają się właśnie literackiej krytyki.

Koncepcję „Ugorów" określił sam autor: „Starałem się odzwierciadlić w niej możliwie najwierniej życie społeczne wsi. Przedstawiłem chłopa takim, jakim on był w tej okolicy, gdzie najmniej sięgał promień oświaty i kultury". A dalej nazywa swoją pierwszą powieść „obrazem, przedstawiającym prawdziwego Człowieka wsi".

Ów przez dużą literę u Pogana pisany człowiek sprowadza się jednak w jego utworze do kilku prymitywnych instynktów, wyrastających z bezwzględnego egoizmu. Widzimy w „Ugorach" chłopów dobijających się urzędu sołtysa, czy radnego gminnego, aby móc z nich czerpać jak najwięcej korzyści materialnych, widzimy zwężenie zainteresowań chłopa tylko do własnej zagrody, lub zagrody skłóconego sąsiada, słyszymy tylko kłótnie, które stanowią zdecydowaną większość dialogów powieści. Życie obyczajowe wsi ma być jeszcze jednym przykładem jej zdziczenia i zezwierzęcenia instynktów chłopskich. Młode dziewczęta na „Weselu" w bezwstydny sposób układają śpiewki o zwulgaryzowanych przeżyciach seksualnych. Jedna śpiewa:

„Ty chociaż sama i nie bawis syna
aleś w brud obrosła jak ta w chliwie świnia".

Inna odpowiada:

„A tyżeś jes cysto i w stodole spałaś
lotego kochanków pół zostronio miałaś"

I dalej:

„Ty sie jednymu niemozes spodobać
musiołby cie jak świnię na korycie skrobać".

Czy wreszcie:

„Tyś bez to cnotliwo, bo któż cie zacepi,
kiedy twoje cnote- całkiem brud zalepił".

Przykłady tu przytoczone świadczą o podświadomej może ambicji przeciwstawienia nagiej i przejaskrawionej prawdy o wsi polskiej szablonowym malowankom chłopców w pasiastych spodniach i zarumienionych wiochen w falbaniastych spódnicach. Pogan nie waha się przed bezwzględniejszymi jeszcze enuncjacjami. W jego „Ugorach" widzimy chłopów, którzy zacietrzewieni sąsiedzkimi sporami nie cofają się przed morderstwem. Śmierć Bąbasa, zastrzelonego przez Biłoczka, śmierć

1) por. nr 22(184) z dnia 5.6.49 i nr 23(185) z dnia 12.6.49.

2) Władysław Dunarowski: „Leżąc krzyżem", powieść, wyd. Kuthana, 1947 r., str. 279; „Ludzie spod miedzi", nowela, wyd. „Nauka" — Bydgoszcz 1947 r., str. 274.

3) por. „Przegląd Powszechny", nr 4(673), tom. 225, kwiecień 1948 r.

4) Józef Pogan „Ugory" z życiorysem własnym autora, słowem wstępnym poprzedził prof. St. Pigoń, wyd. „Czytelnik, 1947, str. 191; „Cierpki owoc", nowele i opowiadania, wyd. „Książka", 1948, str. 123.

(Dokończenie ze str. 5).

rych pasjonuje zjawisko miłości, można wyróżnić dwa odmienne typy twórcze. Typ jeden, to pisarze obdarzeni szczególną wrażliwością zmysłową, którzy dają niezrównane niekiedy opisy namiętności, ale poza zewnętrzne manifestacje życia erotycznego nie wykraczają. Typ drugi to twórcy, dla których miłość jest przede wszystkim niepokojącym fenomenem psychicznym, do magającym się wytłumaczenia za pośrednictwem sztuki. Ukazać zjawisko miłości od wnętrza procesów uczuciowych, wniknąć w tajnie życia emocjonalnego człowieka i odsłonić jego dialektykę — oto ich ideał twórczy. Żeromski należy bezsprzecznie do kategorii pierwszej. Daje on wspaniałe przeważnie sceny ekstazy miłosnej, pasji i namiętności, ale jest całkowicie bezradny wobec bardziej skomplikowanych zjawisk życia erotycznego. Nie pokazuje on nigdy miłości w jej rozwojowych fazach, lecz bierze od razu najwyższy ton. Popędy i wybuchy namiętności u jego bohaterów z reguły nas zaskakują, bo pisarz nie stara się o odsłonięcie logiki wewnętrznej procesów duchowych człowieka. W europejskiej skali porównawczej wielkość Żeromskiego jako malarza miłości bardzo maleje. Nie zapominajmy, że czytelnik współczesny stawia powieści wysokie wymagania, kiedy żąda od niej prawdy o życiu i człowieku. Powieść nowoczesna, uzbrojona w cały arsenał najsubtelniejszych środków artystycznego wyrazu, wspierana wykształconą i do ostatecznych granic precyzji doprowadzoną metodą analizy psychologicznej, nauczyła się tę namiętność poznania zaspokajać. Ale wątpliwe jest, czy może ją zaspokoić pisarz, który w swych twórczych realizacjach nigdy prawie nie wykroczył poza zewnętrzne, zmysłowo postrzegalne, powszechnie uznane, a zatem w pewnym sensie konwencjonalne przejawy życia psychicznego. Mówiąc o Żeromskim jako piewcy miłości, trzeba mieć chyba ustawicznie w pamięci tę zasadniczą poprawkę.

Drugą, do dziś dnia bodajże nie rozstrzygniętą kwestią, są zagadnienia psychologii literackiej w dziele Żeromskiego. Chodzi o to, czy jest autor „Przedwiośnia" i w jakim stopniu psychologiem powieściowym, czy jego kreacje posiadają w sobie siłę przekonywania, czy wzbogacają wiedzę naszą o człowieku. Problem to zasadniczej wagi, jeśli zważymy na rolę, jaką wyznaczają zgodnie i jednomyślnie powieści nowoczesnej zarówno najwybitniejsi twórcy (np. Conrad i Mauriac), jak też teoretycy literatury. Powieść ma być w ich pojęciu malowidłem duszy i w tej dociekliwości psychoznawczej streszcza się całe jej zadanie i sens. Czy Żeromski realizuje ten postulat? Krytyka i nauka nie wypowiedziały jeszcze w tej sprawie ostatniego słowa, ale większość badaczy, a wśród nich autor omawianej książki zajmują w kwestii tej stanowisko, które można by uznać w pewnym sensie za symptomatyczne dla stosunków w krytyce naszej panujących. Stanowisko to streszcza się w wielkodusznej, a niczym nie uzasadnionej pobłażliwości wobec niedociągnięć pisarzy o ustalonej renomie. Jeśli nawet się uznaje, że nie wszystko jest u nich w porządku, to w ostatecznej syntezie te krytyczne uwagi ulegają retuszowi tak subtelnemu, a gruntownemu, że właściwie w rachunku ostatecznym się nie liczą. To też zgodnie z tą tradycyjną postawą mówiąc o sobowtórach powieściowych Żeromskiego autor książki przyzna, że Żeromski właściwie psychologiem powieściowym sensu stricto nie był, ale sąd ten nie wpłynie w najmniejszym stopniu na syntezę końcową. Autor przyznaje postaciom pisarza i „wnętrzną siłę żywota" i dopatruje się w nich „rzetelnego, tęgiego realizmu" na tej tylko podstawie, że Żeromski wykazywał niekiedy zdolność artystycznego utrwalenia i chwytania pewnych rysów psychicznych, sytuacyj wewnętrznych, niektórych zewnętrznych szczegółów fizjognomii ludzkiej, przez które wypowiada się treść duchowa człowieka. Wydaje się jednak, że podstawa to zbyt wąska, nie wystarczająca. Wszak w nowoczesnej powieści psychologicznej nie chodzi o realizm tak ciasno i zewnętrznie pojęty, nie rozstrzyga o nim ani zmysłowo - plastyczna zdolność oddawania fizjognomii zewnętrznej postaci, ani zdolność chwytania postrzegalnych manifestacyj życia psychicznego, ani nawet umiejętność utrwalania poszczególnych sytuacyj duchowych, lecz twórcza moc odtwarzania toku życia wewnętrznego duszy ludzkiej jako continuum zjawisk wewnętrznie uwarunkowanych. Tylko wówczas mówić możemy istotnie o tegim realiźmie. U Żeromskiego próżno go szukać. Wszystkie jego czołowe i najbardziej reprezentatywne postaci (z wyjątkiem niektórych kreacji drugoplanowanych) to albo zbitki najbardziej sprzecznych elementów (Judym, Rafał Olbromski, Cezary Baryka) albo sztywne, pozbawione wewnętrznej autonomii, schematyczne konstrukcje i manekiny, na których rozpina autor swoje pomysły i poglądy i które służą mu do „udowadniania" tez a priori przyjętych (Ewa Pobratyńska).

Celem uwag powyższych nie jest zdyskredytowanie książki omawianej. Ktokolwiek interesował się bliżej i zajmował Żeromskim potrafi w pełni ocenić wartościowy wkład, jaki wnosi ona do wiedzy naszej o tym pisarzu. W zadziwiającym bogactwie tematów, motywów i wątków, zawartych w dziele autora „Popiołów", orientuje nieomylnie. W rozdziałach poświęconych sprawom języka i stylu daje najlepszą bodaj że w chwili obecnej i nie wymagającą żadnych poważniejszych korektur charakterystykę sztuki twórczej Żeromskiego. Jeśli zwróciliśmy uwagę na pewne niedostatki z metody głównie i postawy autora wynikające i staraliśmy się zilustrować je na przykładach, to tylko w celu uświadomienia ogromu wątpliwości, zagadek, nierozwiązanych dotąd problemów, jakie nasuwa twórczość tego pisarza, tak bliskiego i znanego nam pozornie, a w istocie wymagającego wielu jeszcze zasadniczych, metodycznych studiów.

Artur Hutnikiewicz

Popierajcie
Katolicki Uniwersytet Lubelski

Piegacza, zabitego kamieniem przez któregoś z chłopaków, czy śmierć Kurczka, przebitego nożem w bitce weselnej, to dalsze dokumenty zwyrodnienia i powolnej zatraty człowieczeństwa.

Obiektywna relacja Pogana miała — jak należy się domyślać — jeden cel: oskarżenie systemu społecznego, który stworzył sytuację, czyniącą z chłopa na rzędzie najniższych instynktów i najprymitywniejszych popędów. Opis miał być jednocześnie protestem, wyzwaniem rzuconym w twarz twórcom ustroju, czyniącego z chłopów bandę łobuzów, karierowiczów i morderców.

Niestety, taka interpretacja opisu Pogana pozostawiona jest domyślności pełnego dobrej woli czytelnika. Sama powieść, zespół przedstawionych w niej faktów i wydarzeń, nie stwarza dostatecznych przesłanek dla obiektywnej argumentacji, która by przekonała nas o słuszności naszych domysłów. I to jest najsłabszy ideologicznie i koncepcyjnie punkt powieści. Bo przecież i założenie studni i możliwość założenia szkoły i wreszcie częściowe uwzględnienie pretensji chłopskich przez władze gminne przedstawiają system w niedość ciemnych barwach, aby usprawiedliwić ponurość Poganowego opisu. Obrazki ściągania podatków, mocne i przekonywujące, nie ratują sytuacji: Pogan zbyt nieudolnie, zbyt nieśmiało, zbyt powierzchownie obnaża społeczno-polityczne korzenie przedstawionych zjawisk, podkopując przez to wiarę w ich prawdę historyczną i w ich logiczne prawdopodobieństwo.

To samo można powiedzieć o jego nowelach, zebranych w tomie pt. „Cierpki Owoc". Przedstawiają one kilka wypadków, charakteryzujących istotne konflikty ekonomiczno - społeczne warstwy chłopskiej. Nie stać jednak Pogana na dostateczną motywację ideologiczną takiego właśnie przedstawienia, a na tym chyba polegałby jego osobisty wkład. Bo szablonowe i dosyć blade szkice powiększają i tak już przesadnie bogatą literaturę „nędzologii wsi polskiej". Będzie dużym osiągnięciem ciekawie zapowiadającego się pisarza, jeśli brak ten uda mu się uzupełnić w następnych pracach.

12.

Doświadczenia formalne dwóch pierwszych tomów także powinny dostarczyć ich autorowi wyraźnych wskazówek na przyszłość.

Jeśli nazwaliśmy „Ugory" czymś w rodzaju szkicu powieści, a nie po prostu powieścią, to uczyniliśmy to nie ze względu na dosyć szczupłą objętość utworu, ale na jego dosyć zasadniczy brak, występujący i u Gałaja i u Dunarowskiego: brak jednolitej akcji. W „Ugorach" widać, że każdy rozdział książki jest odrębną całością, jakby odrębnym artykułem publicystycznym powierzchownie zbeletryzowanym. Z pozostałymi rozdziałami łączą go jedynie postacie i nikła więź chronologiczna. Sam autor zresztą w swoim szczerze pisanym życiorysie wspomniał o trudnościach związanych z przeprowadzeniem jednolitej akcji. Musimy stwierdzić, że trudności tych w „Ugorach" nie przezwyciężył.

W ogóle kompozycja jest największą słabością formalną Pogana. Widać to wyraźnie i w „Ciemnym Owocu". Zebrane tam nowele i opowiadania rażą prymitywem powiązań logicznych i łatwizną pointy. Wystarczy przeczytać „W Kryjówce", czy „Pod Wspólnym Dachem", aby z przykrością zauważyć, że autor często jeszcze idzie drogą najmniejszego oporu.

Jeśli się zważy jednak charakter debiutu Pogana i weźmie pod uwagę jego biograficzne tło, wszystkie te zastrzeżenia powinny być zrozumiane i przyjęte nie jako próba dyskwalifikacji autora, czy dzieła, lecz jako wyraz szczerej i rzetelnej troski o jak najbardziej prawidłowy rozwój prawdziwego talentu powieściopisarskiego.

d. c. n.

Juliusz Nowak Dłużewski

PRAWDZIWY KNIAŹNIN

Franciszek Dionizy Kniazin, poeta epoki stanisławowskiej, nie miał szczęścia u naszych historyków literatury.

Okres puławski, drugi okres jego twórczości, znalazł jeszcze jakie takie u nich uznanie. Pozytywnie go ocenia Al. Brückner. Znajduje słowa pochwały Ign. Chrzanowski dla religijnych i patriotycznych liryk Kniaznina. Dla St. Dobrzyckiego poezja Kniaznina zaczyna się w okresie puławskim. W ewolucji talentu Kniaznina badacz ten przypisuje pozytywną rolę wpływowi Fr. Karpińskiego. Dziś, po pracach prof. Wacława Borowego nad Kniaźninem*) jesteśmy przekonani, że wpływ Karpińskiego zaciążył wprost fatalnie na ewolucji naturalnych uzdolnień poetyckich Kniaznina, skrzywił ich naturalną linię.

Nie było dotychczas wątpliwości, jeżeli chodzi o cenę pierwszego większego zbioru poezji Kniaznina, jego „Erotyków" (1779). Dobrzycki i Chrzanowski wypowiedzieli sąd prawie jednobrzmiący. Erotyki wypłynęły z nastrojów epoki, nie z duszy poety — powiada pierwszy. Treść ich wzięta nie z serca, tylko z literatury — mówi drugi. Tarnowski formułuje sąd najostrzejszy twierdząc, że „Erotyków . w sąd o Kniaźninie wciągać nie należy". W tym wszystkim należy dla ścisłości wspomnieć o wrażliwości Ign. Chrzanowskiego, który wyczuwał barokowość „Erotyków": nie wyciąga jednak z tego żadnych dalszych wniosków, oceniając barokowy charakter „Erotyków" jako rys ujemny twórczości Kniaznina, jako powtarzanie przez niego „oklepanych pomysłów barokowych" (głównie chodzi o A Morsztyna).

Decydującego wyłomu w poglądach na twórczość Kniaznina okresu pierwszego dokonał W. Borowy w studium „W cypryjskim powiecie". Odsłoniło ono nowe, nieznane, niedostrzegane dotychczas przez nikogo cechy literackie „Erotyków".

„Kniaźnin był na ogół drobnym mistrzem. Ale był mistrzem" — pisze W. Borowy „Erotyki" mają blask i dźwięk złota". „Można lubować się tymi wierszami jak świetnie wyreżyserowanym widowiskiem, jak serią zwycięskich sprawności, jak znakomitym baletem", pisze o „Erotykach", których rozwiązania literackie uznaje za „mistrzowskie". Przewartościował wyniki poezji erotycznej Kniaznina w stosunku do pokrewnego mu sztuką literacką A. Morsztyna (sąd I. Chrzanowskiego). „Poezja jego lepeza, niż szlifowane na zimno klejnoty stylistyczne Morsztyna".

To wszystko, co pisze prof. Borowy o zaletach „Erotyków", można by uznać za nieobowiązujące ogólniki, za wyraz subiektywnych upodobań badacza, których może nie uznać inny badacz, ustosunkowany uczuciowo do „Erotyków" inaczej niż W. Borowy. Tymczasem tak nie jest, bo te ogólniki są uwieńczeniem wyników drobiazgowych obserwacji, badań całej masy liryk Kniaznina, syntezą, ujmującą bardzo konkretne i rzeczywiste właściwości sztuki pisarskiej Kniaznina, zbadane niemal przyrodniczo wymierzone i zważone przez badacza, są rezultatem całości zabiegów badawczych, które teoretyk Oskar Walzel nazwał trafnie „wyższą matematyką" badań stylu literackiego.

*) W cypryjskim powiecie. (Księga zbiorowa ku czci Ign. Chrzanowskiego. Kraków 1936). Franciszek D. Kniaznin. Wybór poezji. (Biblioteka Narodowa, Nr 129, seria I. Wrocław 1948. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich).

Analizując w swej pracy „W cypryjskim powiecie" „barokową bujność" stylu pisarskiego Kniaznina w „Erotykach", doszedł W. Borowy do wniosku, że Kniaznin posługuje się „najulubieńszym i najwłaściwszym sobie środkiem kompozycyjnym: wielopunktowego rozwinięcia jednej myśli czy motywu", tak jak się dzieje u retora, który „rzuconą myśl błyskawicznie rozwija w punktach", jak w fajerwerku, w którym sztuka pirotechnika każe widzieć poszczególne race". Kniaznin miał metodę w twórczości literackiej, która go prowadziła do wyników artystycznie pozytywnych, scharakteryzowanych wyżej. Nie chodzi w tym wszystkim o wielkość i wagę wypowiadanych przez poetę myśli i uczuć, ale jedynie o ich ekspresję, o typ charakterystycznych dla poety „chwytów" literackich, które mu pozwalają na jedynie trafne sformułowanie jego przeżyć literackich.

„Wielopunktowa kompozycja" erotyków Kniaznina jest jedną właściwością jego barokowej twórczości, ale nie jedyną.

Drugą stanowi zespół ukochanych koncepłów i obrazów barokowych Kniaznina, których długą listę wylicza W. Borowy we wstępie do wydanego niedawno wyboru jego poezji, wskazując, że poeta bierze je „z tradycją uświęconego zasobu". Istotnie, znaleźć je wszystkie można w pracy Miecz, Brahmera, poświęconej wpływom poezji romańskiej na poezję polską, a która niejako kodyfikuje wygląd formalnych „chwytów" dawnych erotyków romańskich („Petrarkizm w poezji polskiej XVI w."). Kopiował je u siebie erotyk europejski, powtarza je również Kniaznin. „Ogień miłosny i łzy" Kniaznina to gelato ardore petrarkistów, „słodka i gorzka razem" jego miłość to ich „douçamer"; znajdziemy u poprzedników Kniaznina na polu erotyku europejskiego i polskiego jak i u niego samego charakterystyczne wyznania na temat miłości, która łatwo może o śmierć przyprawić kochanka, jak inne typowe rekwizyty stylowe, które w istocie swej są rekwizytami stylu barokowego. Rewię ich można oglądać u Andrzeja Morsztyna.

Nie jest Kniaznin wynalazcą również i w zakresie „wielopunktowej kompozycji". Widzimy jej okazy w formie lakonicznej, „zamkniętej", u tegoż A. Morsztyna, w formie rozwiniętej, rozlewnej, „otwartej", a więc więcej barokowej, w fajerwerkach stylowych niektórych wierszy Zbigniewa Morsztyna, zwłaszcza zaś — w niezrównanej pod tym względem „Pieśni wyrażającej... sposoby życia (ogłoszonej w „Wirydarzu poetyckim"). Kompozycje takie, które wspomniany teoretyk stylu literackiego Walzel nazywa „łukowymi", dały w dziejach literatury światowej środek bujnej ekspresji literackiej, charakteryzują styl wielu wybitnych poetów. Znaleziono je nawet u Pindara. Prof. W. Borowy dostrzega je — w sposób dla czytelnika rewelacyjny — na przeciwległym biegunie chronologicznym, w „niepohamowanym adwokackim furorze Konopnickiej".

Można je również znaleźć w fugach wielu rozlewnych i bujnych strof „Beniowskiego" i „Króla Ducha". A więc w różnych epokach literatury. Twórczość Kniaznina włącza się w wieczny rytm poezji europejskiej, korzystając z żelaznych zasobów formalnych jej dorobku. Nie można jej przeto uznać za oryginalną. Chodzi o to zasadniczo, jak sobie Kniaznin radzi z przejętym inwentarzem środków stylowych na własnym warsztacie literackim. To jest decydujące. Miarodajny sąd uczonego mówi, że „poeta w każdej z form kompozycyjnych okazuje się niepospolitym władcą słowa i wiersza i umie zająć nawet wówczas, kiedy powraca do wiele już razy rozwijanego tematu, bo rozwija go zawsze w sposób nowy i zawsze się zdobywa na bogactwo wyrazu" (wstęp do „Wyboru poezji"). A więc nie jest tak źle z Kniaźninem, któremu co najwyżej można by zarzucić — nadmiar kultury literackiej, jeżeli to można uważać za zarzut. Dowodem kultury literackiej Kniaznina są m. in. jego łacińskie poezje, wśród których znalazły się również tłumaczenia z języka greckiego i francuskiego. Na dobro wyników twórczych tego poety można zapisać jedną właściwość „Erotyków", utworów w treści rzeczywiście, jak tego chcieli Chrzanowski i Dobrzycki, konwencjonalnych, pozbawionych tzw. rumieńca życia. Wśród „Erotyków dostrzegamy oto takie wiersze, jak „Z podróży" i „Jesień", które pulsują życiem realnym i dowodzą, że Kniaznin umiał równie swobodnie stąpać po ziemi zwykłych śmiertelników, jak po fikcyjnym „cypryjskim powiecie". Dodajmy, że „Jesień" w tym kształcie, w jakim ją oglądamy w „Erotykach", wygląda na utwór nowoczesny, na jakąś rówieśnicę liryk epoki Syrokomli.

Po „Erotykach" wydał Kniaznin „Wiersze" (1783) i „Liryki" (1787). Są to zbiory, w których usiłował pójść za radą Fr. Karpińskiego: „więcej prostej i tkliwej natury w wyrazach". W. Borowy stwierdza, że wychwalane przez Karpińskiego „Żale Orfeusza nad Eurydyką", które weszły w skład „Wierszy", są „rzeczą zimną i bezbarwną", a całość zbioru jest wyraźnie gorsza od „Erotyków". W „Lirykach" zaparł się Kniaznin coram publico swych erotyków: „Wstyd mię przeszłych edycyj, a osobliwie biednych owych Erotyków, gdzie vox, vox praetereaque nihil". Toteż „poprawił i przerobił" dwanaście erotyków, włączonych mimo wszystko do „Liryk". „Kiedy porównywamy te przeróbki z pierwowzorami — pisze W. Borowy w studium „W cypryjskim powiecie" — spostrzegamy, jak nieszczęśliwie zaciążył na nim wpływ Karpińskiego, jak pod jego działaniem Kniaznin uszczuplał barokową bujność swojego stylu, jak beznadziejnie starał się zamieniać swoje duże panneaux na miniatury". Umieszczone w „Wyborze poezji" niektóre utwory w obydwu redakcjach dowodzą istotnie znacznego obniżenia sztuki literackiej Kniaznina w okresie drugim. W. Borowy znajduje usprawiedliwienie dla Kniaznina w zmienionych okolicznościach krajowych, które zakazywały niejako poetom uprawiania swawolnych i bezideowych utworów. Zdobył się Kniaznin na lirykę religijną, która jest pewnej klasy artystycznej (Hymn o wielkości Boga, parafraza psalmu, który znamy z Kochanowskiego i z twórczości poetów polskiego siedemnastowiecza, parafrazy innych psalmów). Mniej już udawały mu się popularne w w. XVII, a często w XVIII parenetyczne „pisy". Pisze cały szereg okolicznościowych liryk patriotycznych, przepaja elementem politycznym utwory puławskie („Matka Spartanka", „Hektor", „Cyganie"). Wśród liryk politycznych (z wydania pośmiertnego) znalazło się kilkanaście utworów, które nie są tylko „szlachetną publicystyką wierszowaną" i które „otwierają nieraz" rozległe, uczuciem naświetlone perspektywy" (W. Borowy). Można takich wierszy dostrzec więcej, niż ich dostrzega prof. W. Borowy, zwłaszcza z epoki powstania kościuszkowskiego i sejmu wielkiego. Zgodzić się jednak trzeba ze zdaniem uczonego, że „nie leżało w jego (Kniaznina) możliwościach wypowiadanie patetycznych uczuć narodowych i obywatelskich". Kniaznin nie był talentem miary Zabłockiego, Woliny przeto od liryki „Do ojczyzny" taki np. anakreontyk „Do A. Czartoryskiego", przypominający szlachetnością stylu celną pieśń biesiadną Kochowskiego.

Rozmyślając nad losami twórczości Kniaznina, dochodzi W. Borowy do przekonania, że „gdyby (Kniaznin) kontynuował tak, jak zaczął, byłby może „śpiewał" z czasem jeszcze dźwięczniej, jeszcze ciekawiej, a co najmniej równie dobrze". Słaba odporność osobista doprowadziła go do obniżania linii artystycznej swej twórczości.

Dochodzimy konsekwentnie do zmiany dotychczasowej skali oceny kniaźninowej twórczości: Kniaznin pierwszej epoki jest poetą, artystą rzetelnym, właściwym Kniaźninem polskiego osiemnastowiecznego Parnasu, ale nie Kniaznin epoki drugiej.

Juliusz Nowak-Dłużewski

Guillaume Apollinaire

ZAWSZE

Przełożył Bogdan Ostromęcki

Zawsze
Będziemy szli coraz dalej i dalej nie posuwając się naprzód nigdy
I od planety do planety
Od nebulozy do nebulozy
Don Juan tysiąca i trzech gwiazd
Nie opuszczając ziemi nawet
Szuka nowych sił
I widma bierze na serio
Zapominamy zaś szybko tak
O wielkich tych, którzy z pamięci ludzkiej wszystko wymazują.
Któż więc pozwoli nam zapomnieć taką lub inną świata część?
Gdzież jest Krzysztof Kolumb, któremu powierzono lądów zagubienie.

Zgubić
Ale zgubić naprawdę
Ażeby zgubę odnaleźć móc
Zgubić
Życie aby Zwycięstwo znaleźć!

TYDZIEŃ KULTURALNY

ZMIANA W KIEROWNICTWIE PAŃSTWOWEGO TEATRU POLSKIEGO

Minister Kultury i Sztuki, przychylając się do prośby dyrektora Państw. Teatru Polskiego w Warszawie Arnolda Szyfmana, zwolnił go z pełnienia obowiązków dyrektora teatru i udzielił mu urlopu.

Na stanowisko kierownika artystycznego i głównego reżysera Państw. Teatru Polskiego i Teatru Kameralnego w Warszawie minister Kultury i Sztuki powołał Leona Schillera.

Dyrektorem przedsiębiorstwa mianowany został Stefan Martyka, a wice dyrektorem Jan Berliński.

WALNE ZGROMADZENIE TOW. HISTORYCZNEGO

W Paulinum pod Jelenią Górą odbyło się w tych dniach pod przewodnictwem prof. dra Jana Dąbrowskiego, doroczne walne zgromadzenie Polskiego Towarzystwa Historycznego.

Walne Zgromadzenie dokonało wyboru nowego Zarządu, w skład którego weszli prof. Dąbrowski z Krakowa, jako prezes i prof. K. Tymieniecki z Poznania, K. Maleczyński z Wrocławia, Z. Kormanowa, w-min. Jabłoński, S. Arnold z Warszawy, L. Piwarski z Krakowa i in.

LAUREACI LITERACKIEGO KONKURSU 1 - MAJOWEGO

W wyniku konkursu rozpisanego przez Departament Twórczości Artystycznej Min. Kultury i Sztuki i Zarz. Gł. Związku Literatów Polskich, w ramach święta 1 Maja, na najlepszy utwór literacki, poświęcony rewolucyjnej tematyce robotniczo - chłopskiej, sąd konkursowy postanowił przyznać nagrody:

Pierwszą nagrodę (75.000 zł) — Julianowi Przybosiowi.

Cztery drugie nagrody (po 40.000 zł) — Władysławowi Broniewskiemu, Aleksandrowi Maliszewskiemu, St. R. Dobrowolskiemu i autorowi używającego pseudonimu „Olbrzymek".

Dwie trzecie nagrody (po 20.000 zł) — Romanowi Wolskiemu i Władysławowi Machejkowi.

Cztery czwarte nagrody (po 20.000 zł) otrzymali: A. Kowalkowski, Wł. Rymkiewicz, M. Kwiatkowski i W. Żółkiewska.

Ponadto postanowiono wyróżnić nagrodami po 10.000 zł: G. Przeczka, T. Sokoła, M. Piechala i J. Koprowskiego.

FESTIWAL PLASTYKI W SOPOCIE

W dniu 4 bm. odbyło się w Sopocie uroczyste otwarcie drugiego westiwalu plastyki.

Festiwal obejmuje następujące wystawy: 1) Morze w twórczości malarzy minionych epok; 2) Rzeźby Xawerego Dunikowskiego; 3) wystawę zbiorową dzieł art. mal. Karola Larischa; 4) wystawę prac Nikifora, artysty ludowego z Podhala; 5) wystawę grafiki meksykańskiej; 6) ogólnokrajową wystawę fotografiki krajoznawczej i 7) wystawę wydawnictw artystycznych polskich i zagranicznych.

Wystawy festiwalowe otwarte będą do 30 sierpnia br. Od dnia 15 lipca niektóre wystawy będą wymieniane na inne, jak np. wystawę dzieł Picassa itd.

WYSTAWA „MIASTO, WIEŚ, MORZE"

W dniu 4 bm. odbyło się w siedzibie SARP otwarcie wystawy p.n. „Miasto, wieś, morze", urządzonej staraniem okręgu warszawskiego Związku Polskich Artystów Plastyków.

Wystawa grupuje prace 12 malarzy, których z nielicznymi wyjątkami łączą wspólne studia w Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych.

UDZIAŁ POLSKI W MIĘDZYNARODOWYM KONGRESIE PREHISTORYCZNYM

Dyrektor Państw. Muzeum Archeologicznego prof. Ludwik Sawicki wyjechał do Francji, jako przedstawiciel Polski na międzynarodowy kongres naukowy, poświęcony zagadnieniom sedymentacji morskiej i rzecznej oraz prehistorii.

Prof. Sawicki wygłosił na kongresie referat pt. „Warunki klimatyczne akumulacji lessu w świetle badań na Zwierzyńcu w Krakowie".

Polskie Towarzystwo Geologiczne reprezentować będzie na kongresie dr Siedlecki.

ZJAZD TOWARZYSTWA HISTORYKÓW SZTUKI W ŁAŃCUCIE

W dniach 8—12 bm. odbył się w Państw. Ośrodku Muzealnym w Łańcucie doroczny ogólnokrajowy zjazd Towarzystwa Historyków Sztuki z całej Polski. Równocześnie w salach ośrodka otwarta została objazdowa wystawa sztuki starożytnej, organizowana przez Muzeum Narodowe w Warszawie oraz wystawa plastyków z woj. rzeszowskiego.

ZJAZD ORIENTALISTÓW POLSKICH WE WROCŁAWIU

We Wrocławiu odbył się II powojenny zjazd orientalistów, zwołany przez Polskie Towarzystwo Orientalistyczne. W ciągu dwudniowych obrad wygłoszono 21 referatów naukowych, poświęconych różnym dziedzinom orientalistyki.

W czasie zjazdu odbyło się również walne zgromadzenie PTO, na którym dokonano wyboru nowych władz Towarzystwa z prof. prof.: A. Zajączkowskim, A. Klawkiem, M. Lewickim, W. Jabłońskim i J. Kuryłowiczem na czele.

Z okazji zjazdu Polskie Towarzystwo Orientalistyczne wydało XV tom „Rocznika orientalistycznego", zawierający rozprawy uczonych polskich i zagranicznych. Równocześnie wydany został pierwszy zeszyt rocznika społeczno-naukowego „Przegląd orientalistyczny", mającego za zadanie popularyzację w Polsce wiedzy o Wschodzie.

FILM

Na ekranach Warszawy wyświetlane są w tej chwili dwa filmy muzyczne: „Paganini" i „Siostra lokaja". Nie przedstawiają one wielkiej wartości. W „Siostrze lokaja" akcja stwarza tylko pretekst dla śpiewu Deanny Durbin. W „Paganinim" sytuację ratuje jedynie wspaniała gra na skrzypcach Yehudi Menuhina. Obraz ten jest zresztą o tyle niebezpieczniejszy, że o ile „Siostra lokaja" jest w założeniu komedią muzyczną, to „Paganini" stwarza pozory filmu biograficznego. Stwarza pozory — bo stanowi już nawet nie przeróbkę, ale przedziwny coctail własnych pomysłów scenarzysty z dowolnie wybranymi w czasie i przestrzeni faktami z życia artysty. Nie omawiając tych filmów chciałbym jednak zwrócić uwagę na niektóre szczegóły techniczne i wyjaśnić po krótce problem nagrywania muzyki. (Zainteresowani zagadnieniem dźwięku w filmie znajdą je omówione szerzej w poprzednich numerach pisma).

W recenzjach o „Paganinim" niejednokrotnie poruszana jest sprawa doskonałej synchronizacji ruchów Stewarta Grangera (w momentach przedstawiających grę na skrzypcach) z podkładem dźwiękowym nagranym przez Yehudi Menuhina. Otóż w studio jako zasada przyjęte jest, że obraz i dźwięk nakręcane są na osobnych taśmach. W wyniku daje to nie tylko łatwość manipulacji, ale również możliwość zastosowania odmiennej techniki laboratoryjnej przy wywoływaniu obydwu filmów. I tu trzeba od razu stwierdzić, że dźwięk i obraz nagrywane są jednocześnie tylko wtedy, gdy w grę wchodzi sam dialog. Efekty dodatkowe, oprawa muzyczna itp. nagrywane są zwykle oddzielnie. Gdy orkiestra, skrzypek czy śpiewak mają ukazać się na ekranie, najpierw nagrywany jest dźwięk — jednocześnie na taśmę filmową oraz na aparaturę umożliwiającą natychmiastowe odtworzenie go. Nadawany jest następnie przez głośnik, a występujący markują jedynie śpiew czy grę. Pozwala to na utrwalenie dźwięku w studio do tego przeznaczonym a nie wśród dekoracji najczęściej pozbawionych koniecznych walorów akustycznych i zniekształcających dźwięk, umożliwia uniknięcie grymasów tak częstych przy rzeczywistym śpiewie czy też nagranie epizodów w rzeczywistości sprawiających duże trudności (jak np. scen, w których artystka śpiewa jednocześnie tańcząc), pozwala na całkowite wykorzystanie oświetlenia i sytuacji (brak skrępowania przez cienie mikrofonu i granice jego zasięgu itp.). Połączenie dźwięku z obrazem następuje już w studio technika.

Dla uzyskania lepszych wyników, możliwości dowolnej manipulacji głosami poszczególnych instrumentów i ich grup itp. rozwinięte zostało ostatnio nagrywanie za pomocą kilku mikrofonów. W tej technice orkiestra podzielona jest na grupy, posiadające własne mikrofony (zwykle: smyczki, drzewo, blacha i perkusja, przy czym instrumenty nie mieszczące się w tych kategoriach, np. fortepian, posiadają jeszcze dodatkowe mikrofony). Krokiem naprzód w tym systemie jest nagrywanie całej orkiestry nie wspólnie na jednej taśmie, lecz tworzenie dla każdego mikrofonu oddzielnego nagrania, które następnie zostają połączone. Umożliwia to idealne zgranie wszystkich grup i osiągnięcie właściwej równowagi i czystości w końcowym efekcie. Oczywiście przy nagrywaniu muzyki studio musi się odznaczać specjalnymi właściwościami akustycznymi i jest zwykle budowane przez specjalistę na podstawie szczegółowych badań (kształt powierzchni ścian, właściwości materiałów izolacyjnych itp.).

***

„Siostra lokaja" wyświetlana jest w nowootwartym kinie „Stolica".

Kina Warszawy posiadały obecnie tylko ca 10% tej ilości miejsc, jaką miały przed wojną. Nowe sześć kin otwartych w bieżącym roku powiększa ilość miejsc przeszło dwukrotnie. Dla zorientowania kilka cyfr: w 1939 roku Warszawa miała 61 kin, przy czym na jedno miejsce wypadało trzydziestu mieszkańców. W tym czasie na jedno miejsce przypadało: w Paryżu 15 mieszkańców, w Pradze Czeskiej 12, we Francji 19,3, w Belgii 15.6, w USA 12, w miastach Anglii 8,12. Do chwili otwarcia nowych kin, w Warszawie stosunek ten wynosi 1 miejsce na 130 mieszkańców, (czyli: że do osiągnięcia poziomu przedwojennego przy obecnym zaludnieniu, bez uwzględnienia przyrostu, brak wynosi około 15 000 miejsc). Otwarte w dniu 1 maja dwa kina dzielnicowe, mają łącznie 1.400 miejsc. Przewidziana pojemność kin jeszcze nieukończonych wynosi 3.900 miejsc.

Przy „Filmie Polskim" istnieje Pracownia Studiów i Projektów Architektonicznych. W wyniku jej dotychczasowej pracy wysunięte zostało szereg postulatów odnośnie budowy kin. Przeprowadzone badania akustyki i widzialności doprowadziły do ustalenia norm — m.in. za minimum odległości pomiędzy rzędami uznano odległość 80 cm, jako minimum różnicy poziomów krzeseł przyjęto 8 cm. Ustalone zostały również wytyczne odnośnie kabiny projekcyjnej, pomieszczeń dla obsługi itp.

Jako zasadę przyjęto, że w miarę możliwości nowobudowane kina będą budynkami wolnostojącymi (zwiększającymi przelotność i bezpieczeństwo). Przeciętny koszt budowy przypadający na jedno miejsce, obliczany jest na 60.000 zł. Kina śródmiejskie posiadać będą 1.000 — 1.500 miejsc, kina dzielnicowe 500 — 800 miejsc (przyczym tu standartowe rozwiązania nie przewidują budowy kosztownych i zmniejszających bezpieczeństwo balkonów). Jednym z takich kin dzielnicowych jest właśnie kino „Stolica".

„Stolica" odznacza się dobrą widzialnością (wysoko umieszczony ekran i podłoga o krzywym profilu) i wygodą (szerokie fotele i duży rozstęp pomiędzy rzędami). Ponieważ stwierdzono, że zatory powstają nie pomiędzy rzędami lecz w przejściach podłużnych, jako zasadę przyjęto zwiększenie szerokości przejść wszędzie tam, gdzie jest możliwe — umieszczenie wyjść i wejść wzdłuż całych boków sali (zwiększa to przelotność, a więc również i bezpieczeństwo). Z takim właśnie rozwiązaniem spotykamy się tutaj. Jako drobny może — ale sądzę, że istotny — szczegół należałoby potraktować (i to nie tylko w świeżo budowanych ale przede wszystkim w starych, mniej przestronnie planowanych kinach), plan rozmieszczenia miejsc, który powinien wisieć — nie jak to zwykle bywa — w okolicy zatłoczonej kasy ale w poczekalni. Umożliwienie publiczności dostępu i nauczenie jej korzystania z niego po wykupieniu biletu mogłoby w dużym stopniu przyczynić się do zmniejszenia błędnych wędrówek po sali w poszukiwaniu nieznanego miejsca.

Do minusów trzeba zapisać fatalną aparaturę dźwiękową i wentylację. Nie wiem czy jest praktycznym rozwiązaniem w naszym klimacie rozsuwany dach, (który w czasie wieczornych seansów w lecie pozwalałby na maksimum świeżego powietrza), ale gorąca, ciężka atmosfera sali sprawiła, że zacząłem odczuwać wątpliwości czy zagadnienie wentylacji zostało rozwiązane właściwie i czy nie należałoby opracować go ponownie dla kin, będących w trakcie budowy. W tym niesamowitym upale, który nawiedził Warszawę, jechałem do kina zatłoczonym tramwajem ze szczelnie zamkniętymi oknami. Któryś z pasażerów spokojnie stwierdził, że zapewne nie wyszedł jeszcze okólnik o otwieraniu okien. Widząc potem w „Stolicy" jakby otwory okienne założone cegłami, zastanawiałem się czy — przynajmniej na okres lata — nie można by (chociaż kilka z nich) odsłonić i skonstruować jakieś ruchome zasłony, umożliwiające przewietrzenie...

Leszcz

KSIĘŻA MARIANIE

Zgromadzenie apostolskie służące czci Niepokalanej przez wszechstronną działalność wychowawczą, naukową, społeczną i duszpasterską — przyjmuje kandydatów do kapłaństwa, nie wyłączając spóźnionych wiekiem, do wszystkich klas gimnazjalnych i licealnych. Posiadający ukończoną przynajmniej kl. IX mogą się zgłosić do nowicjatu. Po nowicjacie młodzieńcy kształcą się na koszt Zgromadzenia.

Przyjmuje się również kandydatów na braci bez względu na wykształcenie.

Zgłoszenia kierować: Warszawa, ul. Wileńska 69.

ROK CHOPINOWSKI 1949

ROK CHOPINOWSKI 1949 POSIEDZENIE ZARZĄDU INSTYTUTU FR. CHOPINA

W dniu 29 maja br. odbyło się w Żelazowej Woli posiedzenie zarządu IFC.

Jak wynika ze sprawozdania przewodniczącego Komisji Żelazowej Woli prof. M. Kaczorowskiego i sekretarza L. Robowskiego, okres odbudowy Żelazowej Woli należy uznać za ukończony.

Kosztem kilku milionów złotych, pochodzących z dotacji państwowych, odnowiono domek Chopina i wyremontowano jego wnętrze. Dzięki pomocy dyrekcji Muzeum Narodowego, umeblowano dworek stylowymi meblami.

Frekwencja osób zwiedzających dom rodzinny Fr. Chopina w Roku Chopinowskim świadczy o wielkim zainteresowaniu pamiątkami po Chopinie. Podczas, gdy w r. 1947 zwiedziło Żelazową Wolę przeciętnie 300 osób miesięcznie, w październiku ub. roku liczba ta wzrosła do 2.000, a w maju br. osiągnęła cyfrę 15.000 osób.

Masowe wycieczki przyjeżdżają nie tylko z Warszawy, ale także z innych miast. Przybywają zarówno grupy młodzieży szkolnej, jak i robotników.

Wobec ciągle wzmagającej się frekwencji zwiedzających, palącym zagadnieniem staje się obecnie budowa schroniska turystycznego, a także zorganizowanie stałej wystawy dydaktyczno-informacyjnej, poświęconej Chopinowi.

Po sprawozdaniu prof. M. Kaczorowskiego opracowano plan działalności IFC na najbliższy okres.

KONCERTY CHOPINOWSKIE W ŻELAZOWEJ WOLI

Instytut Fryderyka Chopina podaje do wiadomości, że z uwagi na masowe wycieczki i zjazdy w Żelazowej Woli, Komitet Wykonawczy Roku Chopinowskiego 1949 r. organizuje tam stałe koncerty pianistów w dni świąteczne.

OBCHÓD KU CZCI CHOPINA W DETROIT

Staraniem Stowarzyszenia Polonii Amerykańskiej odbył się w Detroit obchód ku czci Chopina, z udziałem miejscowych polskich zespołów chóralnych i tanecznych, a prelekcje o Chopinie wygłosili: dyr. Polskiego Biura Informacyjnego w Nowym Jorku Szymanowski i konsul R. P. w Detroit, Frymar.

ZELAZNA OBRĘCZ NA SLIŹNIÓW

(Dokończenie ze str. 4-ej)

— Wojnę zamyślił ksiądz. I nas w ową wojnę wciąga.

— Poco nam ona... ta wojna?

— My kmiecie. Nam orać i siać.

— A księstwo?... Co księstwo? My kmiecie.

— Z cesarzem pono ta wojna. Z Niemcami. Abo widzieliśmy ich, onych Niemców, abo to byli na polanie?

— Słuchajcie — wołał Dobek — nie wywiniem się. Nie nasza siła. Wola księdza.

— Naisto... wola księdza. A nam niewola, tfu!

— Żyłby dziad, nie dopuściłby. Wydumałby co. Nim żył dziad, nikt nosa tu nie pokazał, siedzielim w puszczy, oralim i sielim.

— A ten niemrawiec czego chce? Z księdzem zadrzeć Głupek.

— Naisto, głupek.

Nazajutrz — ledwo świt — wszyscy mężе pociągnęli na wzgórze, kądy tramy wprzódy zwlekali — gród stawić. Twardą ręką Kłąb ujął polanę, koniec powroza wetknął w rękę Zmarskowi — ten budował.

***

Żarek leżał na wznak, głowę złożył na kolanach dziewczyny, patrzył na pochylającą się nad nim twarz z szerokimi białymi zębami, święcącymi zza rozchylonych warg. Opalona twarz była najmilsza mu, najmilsza... Naraz wyciągnął ramiona, zaplótł jej dłonie na karku, przyciągnął ją do siebie, przywarł ustami do tych wilgotnych warg; gdy pocisnął mocniej, poczuł chłodny ucisk zębów. Wtedy puścił ją, zaśmiał się krótkim głębokim śmiechem. Wykrzyknął rozradowany:

— Ojciec nie chcą słać po cię dziewosłębów, brać cię do Śliźniowej gromady. O wał nynie musi słać trzech do drużyny... i mnie śle. Wojnę zamyślił ksiądz. Wrócę wojem, nie będę ocea pytał. Kłąb mówi, że sam ksiądz po cię dziewosłębów pośle, tak zawżdy robi dla swoich.

Już uśmiechała się tymi najdroższymi wargami, choć jeszcze na rzęsach łzy jej wisiały. Szepnęła:

— A jeśli ubiją cię?

— Ubiją? — wykrzyknął i zerwał się na równe nogi. Teraz on patrzył na nią z góry, a ona podnosiła nań oczy pełne obawy i nadziei.

— Ubiją? — powtórzył już ciszej i zadumał się. Przez źrenice przemknęła mu mgła. — Ubiją? — i z cichym rozradowanym śmiechem: — Jakże to mię ubiją? Abo się dam? Ubić? — nie odrywała oczu od jego mocnej postaci, ciasno owiniętej w płótno, gibkiej i jędrnej. I na usta jej napłynął uśmiech ufny i pełen spokoju. Żarek pochylił się, ujął jej głowę w obie ręce i szepnął z bliska w twarz:

— Jakże to ubiją? Jakże? Abo to kto na Śliźniowej polanie lepiej ode mnie z łuku strzela? abo sulicą rzuca? abo toporem tnie? abo biega? jakże to mają mię ubić? — i ten głęboki radosny śmiech grał w jego słowach, ożywiał je, dawał pewność i spokój.

— Chodź — podniósł ją z ziemi — Kłąb na mnie czeka, puścił mię na małą chwilę. Chodź — ujął ją ramieniem za kibić, przytulił, szli złączeni uściskiem, zataczając się, w stronę gęstego stukania siekier obrabiających tramy na gród.

***

Kłąb nie kazał Lubuszy pracować przy budowie — / czuł złość do starego, spierało go, by wsadzić dziadowi siekierę do garści, lecz nie mógł przecie pędzić do roboty starosty tak wielkiego rodu, jak Śliźnie; ale mężów pobrał wszystkich. Lubusza jednak przyłaził co dnia, siadywał na pniu, macał pałuchami po drewnie, rzadko oczy podnosił; mimo to widział wszystko. Postarzał się przez te dni, przygarbił, zmarszczki u nosa pogłębiły się mu w dwie czarne fałdy, patrzył spode łba. Słowem się nie odezwał — patrzył. Łopaty grały Śliźniom w garściach, ludzie pracowali szybko, czasem podśpiewywali. Kłąb stał nad nimi, popędzał, chwalił, śmiał się, wołał:

— Żaden gród nie rósł tak szybko, jak Śliźniów gród. Isty grzyb po ciepłym deszczu. Tfu! Śliźnie ważny ród, nieladajaki a grodu nie mają, gańba Śliźniom. Indziej pół takiej gromady jak wasza, abo i ćwierć gród ma, tęgi gród. Wojna idzie, wpadnie chąsa na polanę Śliźniów, co zrobicie? Kaj się schronicie? — Któryś podniósł głowę, warknął: „W las", Kłąb śmiał się:

— W las? Zające się chronią w las, kiej psa poczują. Nie chronić się Śliźniom w las. Do grodu Śliźniom, a no pośpieszajcie, kopcie, iżby wielka płaskość była, wszystkie Śliźnie muszą się w grodzie zmieścić z bydlęty a dobytkiem...

Warczały łopaty, sypała się czerwona glina. Zmarsk kazał ściąć szczyt pagórka, zsypać na boki, stromiznę darnią pokryć, umocnić plecioną łoziną a kołami. Zmarsk nie chwalił Śliźniów, nie krzyczał na nich, nie pędził. Mamlącymi wargami burczał półgłosem, bez ustanku, jakbyś piach sypał:

— A no, trza jeszcze równać, mało miejsca na wał... z tego boku kleć stanie, druga kleć, trzecia kleć... na woły, na siano; na ziarno, na dobytek, na broń... tutaj klecie a chaty, rzędem chaty tu staną, będą Śliźnie w grodzie nynie siedzieć... na trzydzieści kroków ta ulica, na trzydzieści tamta, a tu znowu klecie na skot... a urwisko trza zmocować, podmywa tu rzeka brzeg, osuwa się ziemia, a no koły trza wpędzić w dno, babę postawić, niech zabija palice... a miejsca mało jeszcze, szerzej trza kopać, na boki, ciągiem na boki... — Kłąb podchwytywał mruczenie starego, krzyczał do kopiących:

— Szerzej, szerzej, kaj się tu pomieścicie, Śliźnie, gromada wielka... Kopcie, zachód blisko, jeszcze dziurę oną trza zasypać, a on garb zdjąć. Widzita, starosta wasz przyszedł, pożrewa, na wielkim grodzie będzie siedział starosta Śliźniów, oho!... — Lubusza patrzył spode łba, słowa nie mruknął.

Drwale trzebili pnie, łuszczyli korę na podłożonych bierwionach wtaczali drzewo na górę. Dziesięciu mężczyzn wpierało się w pień, nogi wbite w ziemię, plecy wygięte w łuk — pchają. „Ee-ep! razem! róóów-no!" — ciężkie sapanie w piersi. Od strony rzeki już wał układali, rząd bierwion jeden przy drugim, sztorcem ku rzece, co dziesięć kroków sterczy w górę obrąbek konaru, jak hak przytrzymujący tramy układane wpoprzek. Dzień po dniu wał rósł, zaginał się, pełzł dookoła wzgórza, aż zamknął się w obręcz. Zmarsk burczał półgłosem mamlącymi wargami:

— ...nie lza ostawić tak, obsunie się wał, trza tu tram z sękiem przywlec, oną tam w dole sosnę, wierzchowinę odciąć, sam odziemek... a ono za rzadko szczapy leżą, trza tu wetknąć drąg i tu wetknąć... ziemią zasypać końce, przyciśnie ziemia bierwiona, łacniej będzie na wał włazić... a tu dwa tramy podle siebie, a przyciosać, iżby przylegały jeden do drugiego... — Kłąb w mig podchwytywał słowa, krzyczał:

— Dobek a skoczcie no z dziesiątką po oną sosnę, przywleczcie oną... Grzyb ścisnąć tu, mocniej, mocniej, mocniej... Kuwacz podważcie drągiem ten tram, bo zwali się wam na łeb, obaczcie tęgdy. Hejże, żywo, Śliźnie, ruszcie się, społem, społem, ciągnijcie, eee-ep! hoo!...

Lubusza siedział na dole, oczyma mrugał. Wał rósł wolno, nieznacznie, świecił żółtizną drewna. Coraz był wyższy, już do piersi pracującym... do ramion... już im tylko głowy z nad wału sterczą. Szeroki na osiem kroków, wielki, ciężki. Gniecie. Pola zebrały baby i otroki — udało się im: deszczów nie było. Zrudniały rżyska, rankami skrzy się rosa na źdźbłach pod chłodnym słońcem. Mgły się snują. Od rosnącego grodu stukanie, okrzyki, łoskot zabijanych pali. Baby zbierają po lasach orzechy, grzyby, dzikie jabłka, świnie żerują pod dębami. Wiatr niesie żółte liście, zaścieła ziemię. Pachnie wilgocią, jesienią, chłodem. Wał wyrósł na wysokość dwóch chłopów, jeszcze rośnie. Siła bije od tego wału, nie zwalisz go, nie przebijesz. Lubusza patrzy, wargami rusza, milczy. Przygiął się — jakby go przygniótł swym ciężarem ten wał, nie zrzucisz ciężaru. Z każdym dniem, z każdą nową warstwą bierwion kładzionych w poprzek i wzdłuż coraz bardziej godził się Lubusza z utratą wolności polany. Patrzył: oto przyszło do nich księstwo ciężką stopą, stanęło na polanie. A przecie zrazu chciał się Lubusza opierać — czemu chciał się opierać? księstwu? Co rano patrzyli Śliźnie na wał idąc do roboty — co rano uginali się mocniej przed księstwem, co rano widzieli wał wyższy, jakby przez noc rósł. Jakby nie ich ręce go wznosiły — jakby sama wola księdza. Wojnę zamyślił ksiądz — poco im wojna? A wiedzieli teraz: choć niepotrzebna im ona, cudza wojna, księdza nie ich, nie Śliźniów, nie polany — oni ją muszą wieść. Musiał Lubusza syna do drużyny słać — bo ksiądz wojnę zamyślił. Muszą oni gród wznosić, wielki wał, bronę i rów — bo ksiądz wojnę zamyślił. Będą musieli z tego wału opór dawać — oni, kmiecie — wojów dzidami spychać, ukróp lać, bić się i ginąć — bo ksiądz wojnę zamyślił. Będą żyli nowym, obcym życiem, jakiego nie chcą — bo ksiądz wojnę zamyślił. Wojnę — poco im ona, wojna. Ale cóż oni — wola księdza się liczy, tylko księdza. Nie Lubuszy, nie wiecu, nie dziadów, nie polany. Wola i zamysł księdza. A oni czym są — oni, Śliźnie? Czym są w księstwie?

Z każdym dniem coraz wyżej się wznosił grodowy wał; i coraz dotkliwiej czuli Śliźnie żelazną obręcz na szyi.

***

Żarek trzymał w garści płat lniany, niepewnie patrzył w nieruchomą twarz dziada. Wyszeptał:

— Ociec dał na dar dla was, dziadu... — ale Giez nie ruszył się, świecił martwymi białkami, całkiem nieruchomymi. Dwoma pałuchami ujął róg płótna, pocierał je poduszeczkami palców, jakby badał grubość tkaniny. Żarek onieśmielony tym bezruchem i zapatrzeniem — powtórzył:

— Ociec dał to... dla was... — Giez nie skłonił głowy, nie drgnął, tylko wciąż ów nieznaczny ruch palców. Wyczuwał nimi szurpatość przepleconych nici, ów szary codzienny trud kmiecy, trud wolego karku, trud brzozowego radła, trud ramion rataja, trud rwących len białek, trud ziemi.

Siemię lniane leje się niby woda po zanurzonej dłoni, ścieka śliskie i żywe, by czar-ziele. Płótno! Białki pochylone nad krosnami pracowicie przeplatają nitki. Stara baba burczy babie gadki, grzeje dłonie u ognia.

Dziewczęta przędą na wrzecionach, śpiewają. Na święte płótno to przędziwo.

A wprzódy czeszą garście lnu, aż włókno będzie miękkie jak włos dziecka. I trzepią, międlą, suszą w łażni — otroki gonią potem dziewczęta po zamglonych łąkach.

Pod błękitnymi mgłami jesieni, pod żółtym okiem słońca ściele się len na rosistych łąkach u rzeki. U tej rzeki, gdzie ongiś Śliźnie odparły napad Jomsborga.

Giez opuścił spojrzenie na Żarka, zapytał:

— Matka to tkała?

— Matka — poderwał się chłopiec, lecz dziad znów znieruchomiał.

Przez uchyloną skórę namiotu wpadł ukośny promień słoneczny, jasną plamą gorzał na płótnie. Żarek spojrzał na dłoń dziada, ze złotym pierścieniem na środkowym paluchu, ciężką i nieporęczną, jak kamienny młot Śliźniów; palce wciąż próbowały płótna. Za plecami grał mu stan — i to wojackie życie, to wspaniałe życie chłopiec wyczuwał całym ciałem, widział je odwrócony, dygotał z podniecenia. Twarz dziada była wciąż martwa i zadumana.

Był przecie dwakroć na rodzinnej polanie, dwakroć słyszał opowiadania o szarym przędziwie życia kmiecego, dwakroć patrzył na tę zastałą wodę, z której się wyrwał w pogoni za nordami. Lecz teraz dopiero, gdy próbował palcami płótna, odczuwał ostro, jak odszedł daleko. Ponad głowę Żarka spojrzał w obóz: chłopcy w gaciach jeno, bez koszul, wiedli konie z kąpieli, śmieli się i gadali. Bojowe rumaki szły twardo, z uniesionymi głowami, z ogonami sztywnie odstawionymi — aż tu było słychać ich ciężkie tupanie. Giez ujrzał swego źrebca, którego był zdobył na Weletach, ciepło mu napłynęło do piersi. — Spuścił ciężki wzrok z chłopca, zapytał:

— Czemuż dał ci ociec to płótno? Czego chciał?

Płat lniany — największy skarb kmiecy — w darze przysłał.

Jakże to rzec? — Żarek natężał pamięć: Lubusza niepewnie mrugał powiekami, dukał z namysłem:

— Wola księdza... idziesz do onej drużyny, odchodzisz z polany... między obcych. A no... — zaciął się — szukaj tam, mówię, dziada. Proś ji... dziada. Gza, mówię, Giez wielmożny woj u księdza... pancerny. Kiej na Prusów szli, on był wojewodą. Proś ji... płótno mu daj... on nam rodowy.

Skrzywił się, zawsze się krzywił, gdy o stryju myślał. Siedzieli pod budującym się grodem, Lubusza patrzył na rosnące ściany. Milczał. Aż niespodzianie głos mu zadrgał dumą:

Rodowy... Nasz... Śliźnień...

Żarkowi, gdy szedł przez puszczę, myślało się jakże jasno:

— Powiem mu dziadowi: Chcę do drużyny, Sasów bić, łup brać. Z łuku strzelam i biegam, i sulicą kłuć zdołam. A ociec nie chce dziewosłębów słać... kiej powrócę, może sam ksiądz... abo wy, dziadu. Wdała dziewka... A ociec płótno wam w darze śle, piękne płótno.

Jasno się myślało, a język skołowaciał przed ogromnym wojem o nieruchomej twarzy. Swojak to, dziad, a język skołowaciał. Podnosi Żarek bezradne, zestrachane oczy.

I ujrzał: śmieje się dziad śmiechem bez głosu, ledwo otwartymi ustami, siatką zmarszczek u oczu, dwiema głębokimi fałdami, zaginającymi się owalem od nosa. Tylko mu pierś w głębi drga. Jeszcze niedostępniejszy — daleki, nie swój, nie rodowy — zdał się dziad w tym nieruchomym śmiechu. Hej, gdzie Śliźniom do Gza, gdzie im, gdzie ich kmiecym darom...

Giez złożył naraz swą ciężką łapę na Żarkowym karku, chwycił go, jak szczeniaka, za szyję.

— Chciesz wojem być? Ano... zrobim z ciebie woja. Obaczym... A płótno ono połóż... niechże mam dar z polany... — och, jaki daleki był Giez, jak wielki i wspaniały. Był z tych, co grody wznosili — żelazną obręcz zakładali na kark Śliźniom.

Śliźniom... Żarek podniósł głowę, na policzkach rumieńce, oczy błyszczą. Powiedział twardo:

— Ociec kazał wam rzec, dziadu, żeście nasz... rodowy... Ślizień — Giez uważnie popatrzył na chłopca, jakby go teraz dopiero dojrzał. Rękę wciąż trzymał na szyi otroka, Żarek poczuł, jak dziad go przygarnia ciepłym swojskim uściskiem. Usłyszał słowo wypowiedziane z głęboką zadumą:

— Ślizień...

Przed nimi grał wojacki stan, tupotały kopyta tabunu.

Antoni Golubiew

Dublin	1700 r.
Boston (1690)	1704 r.
Petersburg	1730 r.

W owych czasach, a w koloniach amerykańskich bardziej niż gdzie indziej, majster-drukarz mało się różnił od wydawcy, właściwie każdy drukarz, a było ich zaledwie kilku, chciał wydawać pismo i zazwyczaj cel osiągał. Poza 4-ma wyjątkami (opisanym wyżej jedynym numerem oraz 2-ma następnymi gazetami bostońskimi wydawanymi przez pocztmistrzów i 1-ną wydawaną przez prawnika) wszystkie amerykańskie gazety do XVIII w. były wydawane i redagowane przez drukarzy. Mieli oczywiście pewien personel pisarski, ale rola drukarza była dominującą.

***

Wszystkie owe wczesne gazety były tygodnikami.

Pierwszy nr. z ilustracją ukazał się w Bostonie w r. 1708. Drzeworyt przedstawiał nowy sztandar Anglii i Szkocji. Tamże ukazał się pierwszy „reportaż“ z okazji powieszenia sześciu piratów.

Pierwszy t. zw. w Ameryce cartoon, satyryczny rysunek, ukazał się w Filadelfii w r. 1754. Przedstawia on pokrajanego węża, każdy kawałek wyobraża jedną z kolonii. Napis: Połączyć się, lub umrzeć.

Pierwsze ogłoszenia dotyczyły niewolników na sprzedaż, niewolników i czeladników zbiegłych, towarów dostarczanych z Anglii i najrozmaitszych środków leczniczych. Najczęściej sprzedawał je sam drukarz, jednak 3-ci numer 2-ej bostońskiej gazety zawiera 3 płatne ogłoszenia.

Pierwsze ilustrowane ogłoszenia tyczą się zbiegłych. Mały drzeworyt przedstawia człowieka biegnącego z tłomokiem na plecach. Ogłoszenia były małe, zawsze w ramach jednej szpalty. 1-sze ogłoszenie poprzez 2 szpalty ukazało się w Nowym Jorku w r. 1741. Ogłaszano przywiezienie z Anglii skomplikowanego zegara, wraz z miejscem gdzie można go oglądać.

***

Lata walki o niepodległość (1778—1783)

To nie nawał wiadomości, ale właśnie nawał ogłoszeń powoli owe wczesne tygodniki przemienić na dzienniki. Pierwszy z nich, któremu ogłoszenia pozwoliły się utrzymać zaczął wychodzić w r. 1784 w Filadelfii. Miasto to jest do tej pory największym centrum wydawniczym w Stanach.

Poprzednio, coprawda, Nowy Jork przez jakiś czas cieszył się prawie codziennie gazetą. Było to podczas rewolucji, kiedy wydawcy tygodników, aby lepiej wykorzystać ciekawość czytelników umówili się, że każdy z tygodników wychodzić będzie w inny dzień tygodnia. W ten sposób Nowy Jork miał gazetę 5 razy w tygodniu od maja 1778 do września 1779, a później 6 do lipca 1783. Były to gazety monarchiczne i skończyły się z tryumfem rewolucji.

Ow pierwszy dziennik w Filadelfii miał 4 strony, po 4 szpalty na stronie i kosztował 4 pensy. Strony 1-sza i 4-ta zawierały same ogłoszenia, a strony 3-ej połowa była nimi zajęta. Na reszcie dawano zazwyczaj jakieś opowiadanie lub essay, a tekst strony 2-ej pochodził głównie z gazet londyńskich. Dzienniki opierały się na sferach rządowych i finansowych, a jednocześnie stały się dla tych sfer ważnemi.

W wypadkach jednak, gdy wydawca chciał odegrać większą rolę miał po temu sposobność. Nie było agencji prasowych, radia ni kina, komunikacje były trudne, ruch między stanami stosunkowo mały. Po za największymi ośrodkami, wydawca dziennika był wszechwładny w kształtowaniu opinii, mało tego — światopoglądu swych czytelników. Zawzięta propaganda, która opanowała gazety po rewolucji, w czasach kontrowersyj politycznych pozostawiła w piśmiennictwie amerykańskim niezatarte ślady. Partyzancka skłonność do przeinaczania faktów, która wtedy weszła w zwyczaj nie ustąpiła już nigdy z łamów czasopism, nie udało się zniżyć raz podniesionego tonu, odbarwić przejaskrawionego obrazu, bez wywołania wrażenia nudy i tracenia gruntu na rzecz konkurenta, czyhającego z rękoma pełnymi sensacji. Tym bardziej, że pisma, dzięki ogłoszeniom stały się interesem, prowadziły do dostatku i władzy, otwierały najszersze możliwości.

Czytając gazety amerykańskie bez świadomości zachodzących w nich deformacyj i mierząc ich informacje miarą pism europejskich, łatwo dać się wprowadzić w błąd.

To nie znaczy, aby nie było wydawców, którzy by, z tych czy innych powodów walczyli o to co byśmy dziś nazwali „obiektywnym reportażem“.

Jednym z pierwszych dziennikarzy, który zrozumiał znaczenie dokładnie podanego faktu i jego wartość rynkową był Ezekiah Niles, wydawca Evening Post w Baltimore. W r. 1811 założył tygodnik Weekly Register, który stał się protoplastą kompendiów specjalizujących się w streszczaniu bieżących wypadków. Bezstronność i dokładność pisma przyciągnęły czytelników z całego kraju. Prenumerowane przez biblioteki publiczne, przetrwało dwa pokolenia i skończyło swój żywot, wprowadziwszy nowy typ. Komplety jego zostały przedrukowane. Historycy amerykańscy często się na jego dane powołują.

Fakt jednak, że Weekly Register „przeszło do historii“ dlatego że pisało prawdę rzuca na okoliczności charakterystyczne światło. c. d. n.

Czytajcie „Słowo Powszechne“

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 22 (184) pańskiego pisma zostali szczegółowo, a w każdym razie pojedyńczo omówieni laureaci tegorocznej nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka.

Między innymi została w 50 wierszach zanalizowana twórczość tegorocznego laureata nagrody literackiej Jana Dobraczyńskiego.

I tu właśnie nic nie rozumiem. Autor owych 50 wierszy opowiada szczegółowo kim Dobraczyński nie jest (nie jest Dąbrowską, ani Nałkowską — o tym wiemy, istnieje choćby różnica płci). Natomiast prawie wcale nie pisze kim Dobraczyński jest jako pisarz i za co ulicha otrzymał nagrodę literacką.

Autor notatki mówi o działalności katolickiej laureata, o błędach jego języka i innych wadach, nie mówi natomiast zupełnie dlaczego jury nagrodziło Dobraczyńskiego w tym dziale twórczości.

W moim zaś najgłębszym przekonaniu jury postąpiło słusznie. Śmiałość sięgania po najtrudniejszą problematykę, zarówno aktualną („W rozwalonym domu“, Najeźdźcy“) jak i historyczną („Wybrańcy gwiazd“), integralne związanie sztuki pisarskiej z wyznawanym przez autora — artystę poglądem na świat, umiejętność narracji i prowadzenia akcji, wreszcie, zawsze pozytywny wpływ na czytelnika w pełni kwalifikują Dobraczyńskiego na laureata nagrody im. Pietrzaka.

Sumując zgadzam się z decyzją jury, a nie mogę podzielić stanowiska autora notatki, a tym samym i pisma. W tym krótkim omówieniu, które wydrukowało „Dziś i Jutro“ Dobraczyńskiego spotkała krzywda. Autor zły wybrał moment do krytyki, a i merytorycznie nie ma racji.

Dlatego protestuje i zgłaszam „Votum separatum“.

Mieczysław Kurzyna

STARSZEMU PRZYJACIELOWI ODPOWIEDŹ

Od jednego z przyjaciół starszej generacji, którego cenię jako człowieka o głębokiej wiedzy i trzeźwego sądu, otrzymałem niedawno list. Treścią jego była krytyka „Etapu“. „Cenię Waszą bezkompromisowość w szukaniu prawdy — taki był mniej więcej sens listu — i zapał, z jakim atakujecie wszelkie zło wokół siebie, gdy ja byłem młody czyniłem to samo. Ale na litość boską nie popadajcie w przesadę i nie róbcie z siebie śmiertelnie poważnych filozofów wiodących uczone dysputy na temat „zakrętu dziejowego“, „nowego świata“ i podobnych spraw. Zwróćcie się bardziej do konkretu: macie przecież wokół siebie tyle problemów drobniejszych może, ale jakże rzeczowych i ważnych. Młodzież, do której kierujecie swoje artykuły, tylko wówczas was zrozumie; nie zapominajcie, że wielka jej część niedawno dopiero opuściła szkoły średnie, gdzie tematem gazetki szkolnej były karykatury profesorów, ploteczki o kolegach i wrażenia z balu gimnazjalnego“.

Wszelka krytyka jest rzeczą cenną — zwłaszcza dla nas, młodych. Dla publicysty jest zawsze sprawdzianem celności uderzenia i wartości formalnej artykułu. Toteż jesteśmy wdzięczni za każdą wypowiedź czytelnika.

Niemniej zarzuty, sformułowane przez mojego starego przyjaciela, wydają się nam niesłuszne. Niesłuszne, ponieważ oparte na mylnej ocenie dzisiejszej młodzieży i jej życia. Otóż stwierdzić należy, że od czasu kiedy Pan był młody, zmieniło się wiele. Zmieniła się tematyka gazetek szkolnych, rozszerzył się krąg zainteresowań społecznych, „O zakręcie dziejowym“ i „nowym świecie“ mówi się bardzo wiele. Ekonomia, socjologia, filozofia pasjonują dzisiaj zapewne większą część młodzieży niż za Pańskiej młodości, ponieważ są nie tylko przedmiotem poznania, ale i materiałem do konstrukcji własnego światopoglądu, tak często różnego od światopoglądu rodziców.

Nie trzeba szukać daleko. Oto 21 (183) numer „Dziś i Jutro“ przynosi wypowiedź młodego czytelnika z Płocka. Pisze on o artykułach pt. „Od katechumenów“ i „Różne drogi“: „Trafiły mi one wprost do serca, ponieważ sam wiele razy myślałem o tych sprawach, które są tematem wyżej wymienionych artykułów. Jestem jeszcze bardzo młody, uczęszczam do dziewiątej klasy (a więc około 15 lat — przyp. mój), ale w moim sercu odbyło się wiele walk ideologicznych, teraz z każdym dniem coraz bardziej skłaniam się ku katolickiemu ruchowi postępowemu, ale droga, którą do niego doszedłem, nie była wcale łatwa. Na szczęście spotkałem w życiu ludzi takich, którzy wskazali mi źródła prawdy. Znalazłem ją i jestem szczęśliwy. Iluż jednak kolegów błąka się w uliczkach bez wyjścia.

Położenie nas, młodzieży, jest trudne. Zaledwie wychodzimy z dzieciństwa, a już musimy mieć pewne przekonania, opowiedzieć się za tym czy innym światopoglądem. Zaczyna się szukanie rozpaczliwe i tragiczne. Wielu nie wie wcale, gdzie szukać rozwiązania trapiących ich zagadnień. Pustka... Straszliwa pustka. Gdyby tak wszyscy mogli zobaczyć, co się wtedy dzieje w duszy młodzieńca...“.

Czyż może Pana teraz dziwić nasza skłonność do poruszania problemów zasadniczych, problemów największej wagi. To, co dla Pana jest już zupełnie oczywiste i nad czym Pan dawno przeszedł do porządku — my młodzi katechumeni katolicyzmu — dopiero stopniowo odkrywamy. I dlatego trudno określić co jest mniej lub więcej „konkretne“ Od analizy społecznej nauki Chrystusa, od zrozumienia dogmatu zależy często wiara niejednego z nas. A czyż może być dla katolika problem bardziej od tego „konkretny“?

Odpowiedź moja nie oznacza bynajmniej, że chcemy „Etap“ zapełnić samymi rozprawami filozoficznymi. Przeciwnie — pragniemy jak najsilniej tkwić korzeniami w rzeczywistości. Jeżeli chcemy utrzymać tematykę światopoglądową, to tylko dlatego, że zapotrzebowanie na nią zgłasza dzisiaj samo życie.

K. Z.

ODPOWIEDŹ BEZIMIENNEJ W ROZTERCE

Po przeczytaniu listu do Redakcji zamieszczonego w numerze 20 (182) z 22 maja 1949 r., próbujemy odpowiedzieć na poruszone problemy. Nie wiemy czy „Bezimienna“ pisząc swój list do Redakcji pracuje, czy tylko studiuje i w gronie jakich ludzi obraca się. Wiemy natomiast, że katolicyzm rozwiązał problem pracy pozytywnej, pracy „spokojnej“, wytrwałej, owocnej, błogosławionej, jak mówi ks. prymas Wyszyński w książce swojej „Duch pracy ludzkiej“.:

— Praca pozytywna, budująca, twórcza jest nie tylko potrzebą jak Pani zauważa, ale obowiązkiem każdego katolika pragnącego swoje ideały ewangeliczne wprowadzić w czyn. I mamy możliwości pracy społecznej. Są instytucje takie jak „Caritas“, Sodalicja, które realizują pomoc społeczną — mamy swoje ubogie rodziny, chorych w szpitalach, niewidomych kolegów, którym pomagamy uczyć się, czytamy im książki... Cała nasza postawa zwrócona jest wyraźnie ku czynnemu życiu, choć znamy wartość pracy duchowej. Istnieją przecież organizacje młodzieżowe: Bratniak, koła naukowe, gdzie możemy znaleźć dla siebie zajęcie zgodne z zainteresowaniem — rąk do pracy potrzeba zawsze.

— Uznajemy słuszność pewnych pozytywnych wartości obozu przeciwnego. Prawdę i słuszność należy umieć uznać, nasza postawa nie powinna polegać na wynoszeniu własnej instytucji i ideologii, ale na wykazaniu życiem słuszności sprawy.

Na udowodnieniu każdym czynem konsekwentnie słuszności spraw wiecznych. Dobrze byłoby postudiować encykliki Rerum Novarum Leona XIII — papieża społecznika i Quadragesimo Anno 1931 Piusa XII — obydwie one omawiają problemy społeczne.

Ideologię i doktrynę katolicką obowiązani jesteśmy poznać i wprowadzać ją w czyn.

I nie trzeba wychodzić na barykady, czeka nas setki domów, sierocińców, placówek — katolik to czyn — apostolstwo ducha i praca rąk. Winniśmy iść realnie wytyczywszy sobie drogę życia — przechodzić śmiało patrząc na drugi brzeg — na wieczność. Za wiele często filozofujemy zamiast na każdym kroku otwierać swoje serce. Bowiem służbę drugim i czyn społecznej miłości rozwiązał Chrystus w swej nauce najwcześniej — dobro wszystkich, powszechna sprawiedliwość, miłość bliźniego to nasze stare hasła, które uczą czynu w oparciu o źródło wiecznej Miłości — Chrystusa.

Problemy te przedyskutowaliśmy dawno. Jesteśmy studentkami i studentami, którzy cieszą się radosną i twórczą, choć często twardą pracą i nie zgadzamy się na miano zrozpaczonych widzów.

Za nasze grono — Teofila

SPROSTOWANIE

W n-rze 22 (185) z dn. 5.VI.1949, do artykułu Zygmunta Lichniaka pt.: „Powieść chłopska“, wkradło się nieporozumienie, wymagające sprostowania. Błędnie wydrukowano tytuły książek Józefa Pogana. Zamiast „Krzywda“ i „Gorzki owoc“, powinno być „Ugory“ i „Cierpki owoc“.

SPROSTOWANIE

Do wierszy drukowanych w Nr 21 (183) zakradł się pewien błąd. Mianowicie wiersz ostatni, zaczynający się od słów — „Pozabijaliście nas...“ nie należy do cyklu „Lamentów ludzi nieprzyzwyczajonych“ i jest całością sam dla siebie. Ponadto w „Lamencie niedoganiającego poety“ strofa druga wiersz 6 ma być „śpiewne jęki“, a nie „śpieszne jęki“.

Z poważaniem

Tadeusz Chrzanowski

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 5.

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-70510